No. 1.
Maj 2012 (1)
Cena 15 zł (w tym 8% VAT)
INDEX: 283304
ISSN: 2084-7548

(SLOW)

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi naprawdę zainteresowanych

Grzegorz Łapanowski
Fetysz ekonomiczny
Romans stulecia
Najmłodszy emeryt
Agata Passent

ISSN 2084-7548
9 772084 754209 05

MASZ PRZED SOBĄ DRZWI DO **ŻYCIA NOWEJ JAKOŚCI.** ŻYCIA W SPOKOJNYM RYTMIE **SLOW...** WPADNIESZ?

Nie mam żadnych wątpliwości!

Regularnie, co miesiąc masz szansę wejść do świata idealnego, w którym wszystko jest proste, a ludzie są szczęśliwi i świadomi wartości swojego życia.

Z minuty na minutę w Europie powstają ruchy i organizacje propagujące SlowLife. Czynię w ich kierunku wielkie *chapeau bas*! Bo choć powszechnie uważa się, że najbardziej deficytowymi towarami są dziś woda czy ropa, to w mojej opinii – jest coś jeszcze. Czas. Świat pędzi, Internet wciąga, praca zniewala. Działamy na wysokich obrotach, ciągle odczuwając wewnętrzną potrzebę, by gdzieś biec: na samolot, do pracy, na kolację. W kieracie obowiązków nie znajdujemy chwili, by ze sobą być, rozmawiać, spojrzeć w oczy, zakochać się. Zarabiamy pieniądze, ale nie mamy ich kiedy wydawać… Zakupy? W pośpiechu. Obiad? Na mieście, często samotnie. Nie celebrujemy posiłków. Nie czerpiemy przyjemności z jedzenia, które stało się przykrą koniecznością...

Świat można zatrzymać. Ty możesz się zatrzymać. Włącz niższy bieg i popatrz: wokół tyle się dzieje, istnieje inny człowiek. Usiądź wygodnie, otwórz (**SLOW**) i rozkoszuj się słowem pisanym. Przeżyj swoiste katharsis – (**SLOW**). Nowa jakość życia. Nowa perełka na rynku prasowym. Zacznij żyć tak intensywnie, jak nasi bohaterowie! Idąc za przykładem Katarzyny Czajki, nie bój się nowych wyzwań. Odkryj w sobie talenty i odpłyń w morze pasji. Chcesz zwiedzić cały świat? Żaden problem! Weź przykład z bohatera reportażu o najmłodszym emerycie – Sławka Muturi. Spakuj walizki i wyjedź w dziki interior z Marcinem Gercem. Terenówką, a może ekologiczną Toyotą Prius… Rób to, co podpowiada Ci Twoje serce!

Ciesz wzrok estetyką i rozkoszuj się fotografią młodych i zdolnych artystów. Otul swoje ciało recyklingowym *haute couture* od Joanny Paradeckiej. Eksperymentuj! Nie tylko w modzie – także w kuchni. Co powiesz na kulinarne towarzystwo Grzegorza Łapanowskiego?

Zaciekawiony?

Zatem zapraszam do nowej, comiesięcznej lektury (SLOW).
Uwierz, szkoda czasu na pośpiech…

Edyta Złomaniec
Redaktor Prowadząca

CONTENTS

5 **DESIGN**
KONTENER W WERSJI GLAMOUR **(6)**, ŻYCIE NA WODZIE **(12)**, TERAPIA DESIGNEM **(14)**

17 **APPÉTIT**
SLOW MAN GRZEGORZ ŁAPANOWSKI **(18)**, ROMANS STULECIA **(26)**, GODZINA Z PIOTREM GALIŃSKIM **(31)**

35 **FASHION**
SLOW FASHION **(36)**, TRASHION **(40)**, FASHION PATTERNS BY PARADECKA **(46)**, WIOSNA 2012 **(50)**, WŁÓCZKĄ OPĘTANI **(52)**, SNOW WHITE **(60)**

71 **FREE:ZONE**
BIJOUX OLIWKA GROCHAL **(72)**

77 **RE:VISION**
BAWEŁNA **(79)**, SZYNKA **(81)**, W KOKONIE CZTERECH ŚCIAN **(84)**, SKILL ZA SKILL **(86)**, FETYSZ EKONOMICZNY **(91)**, ZA 200 M SKRĘĆ W EKOLOGIĘ **(95)**

101 **MOTION**
LESS IS MORE **(102)**, NAJMŁODSZY EMERYT ODKRYWA ŚWIAT **(105)**, NIE TYLKO DLA LANSU! **(108)**, KONESERKA ŻYCIA **(110)**

113 **KULTURA**
Z RĄK DO RĄK **(114)**, PRZEPROJEKT CZYLI PRZEPIS NA EKSPERYMENT **(118)**, RZECZ O KICZU **(120)**

123 **PARENTS**
DZIECKO? O MATKO! AGATA PASSENT **(124)**, KREATYWNOŚĆ PRZEDE WSZYSTKIM **(128)**

128 **PARTNERZY**
FIRMY I LUDZIE, BEZ KTÓRYCH MAGAZYN (SLOW) NIE BYŁBY TYM, CZYM JEST DZIŚ.

(SLOW)

Szkoda czasu na pośpiech
Magazyn ludzi naprawdę zainteresowanych

Redaktor Naczelny i Wydawca: Bartosz Klonowski (bklonowski@beSlow.pl)
Dyrektor Kreatywny: Anna Jasińska (ajasinska@beSlow.pl)
Redaktor Prowadząca: Edyta Złomaniec (ezlomaniec@beSlow.pl)
Sekretarz Redakcji: Iwona Szostak (iszostak@beSlow.pl)

Reklama: Łukasz Polikowski (lpolikowski@beSlow.pl)
Public Relation: Joanna Bucior (jbucior@beSlow.pl)
Marketing i promocja: (marketing@beSlow.pl)
Fotoedycja i eWydanie: Elwira Bocheńska (digital@beSlow.pl)
eCommerce: Wociech Rechnio (wrechnio@beSlow.pl)
Korekta: Izabela Śliwińska (isliwinska@beSlow.pl)
Dystrybucja: Katarzyna Obrocka (dystrybucja@beSlow.pl)

Projekt makiety i okładki: Anna Jasińska
Skład i łamanie: eMotion (www.eMotion.pl)
Nakład: 10.000 egzemplarzy
Druk: Drukarnia Perfect SA (www.drukarniaperfekt.pl)

Autorzy i współpracownicy:
Jagna Badowska, Beata Cieślak, Kaja Cudak, Martyna Człapska
Marcin Gerc, Izabella Lasocka, Jakub Lipczik, Joanna Lompart-Chlaściak
Anna Kiedrzyńska, Julita Matusiak, Emilia Nędzi
Milena Nosek, Grzegorz Zduniak

Zdjęcia i ilustracje:
Milena Fabisiak, Oliwia Grochal, Oktawian Górnik, Karo Lilpop, Beata Szczecińska
Krzysztof Rogalski, Jagoda Wilczyńska, Paulina Wydrzyńska, Michał Czajka

Wydawnictwo: YOSO Sp. z o.o., ul. Sarmacka 9/7, 02-972 Warszawa, Polska
Redakcja: ul. Ks. Prym. A. Hlonda 2A/99, 02-972 Warszawa, Polska, +48.885.98.98
ISSN: 2084-7548, INDEX: 283304
www.beSlow.pl

Bardzo dziękujemy wszystkim, którzy pomogli nam w przygotowaniu i wydaniu (SLOW) No. 1.

(design)

Projekty, które się udały

GREEN FRAME HOUSE, MODEL DOMU PRZYJAZNEGO ŚRODOWISKU NATURALNEMU, ZAPREZENTOWANO PODCZAS PRESTIŻOWYCH TARGÓW DESIGNU ABITARE IL TEMPO (2010) W WERONIE. GREEN FRAME HOUSE TO NOWOCZESNY, EKOLOGICZNY DOM, ZAPROJEKTOWANY PRZEZ WŁOSKIE ARCHITEKTKI ZE STUDIA **ASTORI DE PONTI ASSOCIATI: ANTONIĘ ASTORI, NICOLĘ DE PONTI I ESTER PIROTTA** WE WSPÓŁPRACY Z GRUPĄ **ART CONTAINER**. DWUPIĘTROWY BUDYNEK O POWIERZCHNI 140 M² SKŁADA SIĘ Z SZEŚCIU USTAWIONYCH W STOS KONTENERÓW MORSKICH. DOM WYPOSAŻONY JEST W ELEKTRONICZNY SYSTEM STERUJĄCY OŚWIETLENIEM W ZALEŻNOŚCI OD PORY DNIA I NASŁONECZNIENIA ORAZ W MINITURBINĘ WIATROWĄ. OBŁOŻONO GO SUPERNOWOCZESNYM, ENERGOOSZCZĘDNYM MATERIAŁEM, ZAPEWNIAJĄCYM DOBRE WŁAŚCIWOŚCI TERMICZNE. JEST ON DLA JEGO PROJEKTANTEK UCIELEŚNIENIEM POMYSŁÓW I MARZEŃ O PRZYWRÓCENIU DO ŻYCIA KONTENERA ROZUMIANEGO JAKO PRZEDMIOT ARTYSTYCZNY. PRZEDMIOT, Z KTÓRYM ARCHITEKT MOŻE EKSPERYMENTOWAĆ, PRÓBUJĄC STWORZYĆ OPTYMALNE ROZWIĄZANIA W ZAKRESIE BUDOWNICTWA PRZYJAZNEGO ŚRODOWISKU. PROJEKTANTKI SKONCENTROWAŁY SIĘ NA ODZYSKANIU KONTENERA I WYDOBYCIU GO SPOŚRÓD RUPIECIARNI PRZEMYSŁOWYCH ODPADÓW, PRZY JEDNOCZESNYM ZACHOWANIU ATRAKCYJNOŚCI INDUSTRIALNEGO CHARAKTERU KONTENERA ORAZ STWORZENIU JEDNOLITEJ PRZESTRZENI Z OSOBNYCH MODUŁÓW. W SPÓJNY I ORYGINALNY SPOSÓB ZATARTE TU ZOSTAŁY TRADYCYJNE PODZIAŁY NA TO, CO WEWNĄTRZ/ZEWNĄTRZ I NA TO, CO DOMOWE/PUBLICZNE. (FOT. TOM VACK)

DLACZEGO KONTENERY KOJARZĄ NAM SIĘ Z ROBOTNIKAMI CZY BEZDOMNYMI? KTO POWIEDZIAŁ, ŻE DOM MUSI BYĆ Z CEGŁY? PORA ZMIENIĆ PERSPEKTYWĘ.

KONTENER W WERSJI GLAMOUR

Jesteśmy pełni uprzedzeń. Bo – niby dlaczego uważamy architekturę kontenerową za odpowiednią tylko dla robotników czy bezdomnych? Dlaczego tego typu budownictwo kojarzy nam się nadal z wykluczeniem i społeczną degradacją, podczas gdy designerskie kontenerowce podbijają świat? Pora zmienić perspektywę, bo w luksusowym domu w różowe kropki można naprawdę przyjemnie spędzić leniwy weekend. A i zielona herbata potrafi wyjątkowo pobudzić zmysły, kiedy popija się ją, siedząc w przezroczystej herbaciarni-szkatule ulokowanej ponad falami Morza Japońskiego.

Tekst: Emilia Nędzi

Krótka historia

Architektura kontenerowa to bardzo młoda gałąź. Liczy sobie nie więcej niż dwadzieścia lat, choć korzeniami faktycznie sięga 1950 roku. Wtedy to amerykański kierowca ciężarówki i przedsiębiorca zarazem, Malcolm McLean (dziś nazywany ojcem chrzestnym konteneryzacji), powziął myśl, aby przyczepę ładunkową z samochodu przenieść na statek. Dzięki temu towar szybciej dotrze na miejsce przeznaczenia i nie będzie kusił przydrożnych złodziei. McLean otrzymał na swój wynalazek patent, a przy okazji zrewolucjonizował cały przemysł transportowy. Od tego, ważnego dla świata handlu, momentu jest już tylko niewielki krok do zadomowienia się w kontenerze…

Adam Kalkin

Rozmach i innowacyjność to cechy kontenerowych domów autorstwa Adama Kalkina, architekta i artysty z New Jersey. Także efekt opakowania, umieszczenia domu w domu można uznać za charakterystyczny dla niego. 12 Container House i Bunny Lane to ogromne konstrukcje mieszkalne składające się z ustawionych obok siebie kontenerów, szczelnie zamkniętych w hangarze ze szkła. Montaż zbudowanego z sześciu stalowych kontenerów morskich Quick House trwa zaledwie tydzień.

– *Wykorzystanie kontenerów to up-cycling, przystosowanie odpadów do wyższych funkcji, i pomoc tym, których nie stać na mieszkanie* – tłumaczy Kalkin. Przy obecnym kryzysie gospodarczym pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Zamówienia wykupiono już na pół roku wprzód.

Push Button House

Bardziej ekscentrycznym projektem jest „Dom na przycisk". Po wciśnięciu guzika ściany zamieniają się w podłogę, a luksusowe wyposażenie wyskakuje z kontenera niczym z magicznego pudełka. Projekt, mało praktyczny jak na mieszkanie, znalazł swoje zastosowanie jako sezonowa, mobilna kafejka firmy Starbucks i Illy. W wywiadzie dla nowojorskiego kwartalnika *Vassar* Kalkin stwierdził, że nie ma dla niego różnicy między sztuką i komercją a pomocą humanitarną. – *Najważniejsze, by namieszać, zmienić świat i dobrze się przy tym bawić.*

W porozumieniu z Fundacją Nagie Serce (Naked Heart Foundation) założoną przez top modelkę Natalię Vodianovą, architekt wybudował dwieście placów zabaw z kontenerów i zadedykował je najbiedniejszym dzieciom z całej Rosji. Zaangażowanie Kalkina w sprawy społeczne doceniło U.S. Trust Company, przyznając jemu i szkole Pingry School w New Jersy, z którą współpracuje, grant na skonstruowanie prototypu domu (wykonanego oczywiście z kontenerów) dostosowanego do regionu i lokalnych warunków klimatycznych.

Architektura przyszłości

Jure Kotnik – młody słoweński architekt freelancer i autor książki „Container Architecture" (2008) – wymienia zalety budownictwa kontenerowego. Najważniejsze z nich to: niskie koszty, prosty montaż, szybki transport oraz wysokie walory ekologiczne. Niska cena pojedynczego kontenera wynika stąd, że jest to seryjny produkt pochodzenia azjatyckiego.

TERAPIA DESIGNEM

Co zrobić, by pobyt w szpitalu nie był traumą i nie kojarzył się z surowym wnętrzem? Wystarczy wprowadzić kilka niuansów, odpowiednio dostosować jego kolorystykę, zastosować proste formy oraz motywy inspirowane naturą. Przyjazny pacjentom design szpitala może wesprzeć ich leczenie. I choć stanowi wielkie wyzwanie dla projektantów z wieloletnim doświadczeniem, to udało się tego dokonać trójce młodych zdolnych. Na podstawie rozmów z pacjentami stworzyli oni projekt idealny.

Tekst: Ewa Smuga, Katarzyna Gołaszewska

Czystość przede wszystkim

Przełom w pojmowaniu funkcjonowania szpitali i personelu medycznego nastąpił wraz z działalnością Florence Nightngale (twórczyni nowoczesnego pielęgniarstwa) około 1850 roku. Wtedy uświadomiono sobie, jak dużą rolę w leczeniu odgrywa utrzymanie otoczenia pacjenta w sterylnej czystości. Zaczęto używać materiałów zmywalnych i przedmiotów, z których łatwo było usunąć wszelkie zanieczyszczenia. Idea ta stała się nadrzędną wytyczną w projektowaniu szpitalnych wnętrz. Dziś wiemy, że te minimalistyczne przestrzenie, pomimo swoich higienicznych zalet, są powodem złego nastawienia pacjenta do szpitala i nie wspomagają procesu rekonwalescencji.

Z badań wynika, że nawiązanie pozytywnej relacji pacjenta z jego otoczeniem skutkuje lepszym samopoczuciem i dodaje sił w walce z chorobą. Te same zasady dotyczą personelu medycznego, który w komfortowych warunkach pracuje efektywniej.

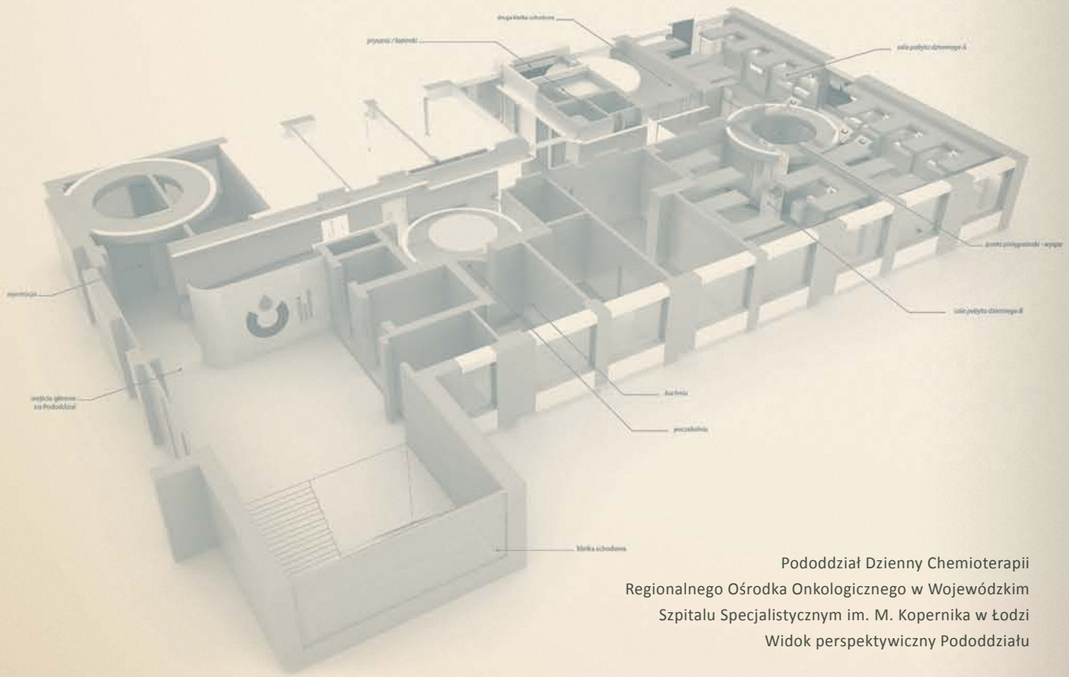

Pododdział Dzienny Chemioterapii
Regionalnego Ośrodka Onkologicznego w Wojewódzkim
Szpitalu Specjalistycznym im. M. Kopernika w Łodzi
Widok perspektywiczny Pododdziału

Czytelny system oznakowań

Główną inspiracją była woda

Linie wyznaczały trasy dotarcia do poszczególnych pomieszczeń

Misja specjalna

Grupie projektantów w składzie: Katarzyna Gołaszewska, Ewa Smuga oraz Maks Baranowski zostało postawione zadanie zaprojektowania wnętrza Poddziału Chemioterapii Jednego Dnia w Szpitalu im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, który jesienią 2011 roku został oddany do przebudowy. Jednym z głównych wyzwań przed jakimi stanęli, było dostosowanie ich wizji do rygorystycznych, polskich norm prawnych, które dotyczą projektowania szpitalnych wnętrz. Projektanci przygotowali zarys koncepcyjny odzwierciedlający oczekiwania chorych, na podstawie którego wykonano przebudowę pododdziału. Wiosną 2012 roku będą przyjmowani pierwsi pacjenci.

Proces projektowy został poprzedzony badaniami polegającymi na rozmowach z pacjentami oddziału oraz analizą istniejącego stanu.

– Na początku wizyty w szpitalu mamy zakładany wenflon (w formie kroplówki – podaje się chemię). Dzieje się to przed wejściem do sali. Nie ma poczekalni ani nawet gabinetu zabiegowego. Na chemię czekamy kilka godzin – zwykle od rana do południa. Niektórzy pacjenci spoza miasta przyjeżdżają nawet w nocy, błąkają się w oczekiwaniu na swoją kolej. Jesteśmy słabi, nie mamy gdzie usiąść. Poczekalnia i bufet są na innym piętrze, a ponieważ musimy cały czas pilnować sytuacji, bo nigdy nie wiadomo, kiedy przyjedzie nasza chemia, staramy się nigdzie nie oddalać – mówi jeden z pacjentów.

Wywiady z pacjentami zdeterminowały wiele późniejszych decyzji projektowych i były źródłem informacji, które stanowiły punkt wyjścia do stworzenia nowej wizji wnętrza. Jak się okazało, pacjenci przyjmujący chemioterapię są bardzo wrażliwi na dźwięk, zapach oraz kolor (co jest związane z barwą podawanej chemii). W konsekwencji paleta odcieni mocno się skurczyła, a projektanci musieli zrezygnować z silnych akcentów kolorystycznych. W grę weszły jedynie łagodne kolory z kilkoma subtelnymi punktami, na których pacjent może skupić swoją uwagę podczas pobierania kroplówki. Zastosowane motywy opierały się na prostych formach, co wykluczało użycie abstrakcyjnych kształtów. Wszystkie elementy wnętrza zostały konsekwentnie dopasowane do potrzeb osób szczególnie wrażliwych na otoczenie.

SLOW MAN

Z Grzegorzem Łapanowskim Rozmawiała Edyta Złomaniec

Nie chce być nazywany slowfoodowym zapaleńcem, chociaż wszyscy go z tym kojarzą. Nieustannie eksperymentuje, poszukuje niebanalnych smaków. Sushi z kaszy? Dlaczego nie! O jedzeniu potrafi rozprawiać z prawdziwą namiętnością. Bohater wykonujący pracę u podstaw, toczący bój o to, by dzieciaki z polskich szkół miały dostęp do dobrego jedzenia. Dziennikarz, podróżnik i miłośnik jazdy na desce w jednej osobie – Grzegorz Łapanowski.

Slow food to…?

Slow food to międzynarodowy ruch społeczny - grupa osób, które przywiązują ogromną wagę do tego, co jedzą. Cenią smak prawdziwego jedzenia i dążą do tego, by obcować z nim na co dzień. Wybory konsumenckie traktują jako coś, co ma wpływ na środowisko naturalne, a zatem na nasze życie. To grupa ludzi ceniących i działających na rzecz dobrego jedzenia.

Od czego zacząć przygodę ze slow foodem?

Od znalezienia lokalnego targu. Jestem przekonany, że w większości polskich miast możemy znaleźć panią Halinkę sprzedającą znakomite polskie truskawki czy pana Gienia, który ma najlepszą jagnięcinę w okolicy. Na lokalnym targu można kupić jajka od wolnowybiegowych kur. Jest dostęp do naprawdę wspaniałej, zdrowej żywności, jeśli tylko chcemy.

Mówi się, że slow food to także powrót do smaków znanych naszym przodkom. Pytanie, czy to możliwe?

Poniekąd tak. Prawdą jest, że część znanych naszym przodkom gatunków roślin i zwierząt już niestety nie istnieje. Ale wciąż, gdy zadamy sobie trochę trudu, możemy mieć dostęp do wyśmienitej polskiej wieprzowiny pochodzącej od świni złotnickiej, do jagnięciny ze świniarki czy do gęsi biłgorajskiej. Warto szukać tych produktów i wspierać małych producentów, bo to nasze kulinarne dziedzictwo, cześć narodowej tożsamości.

Przez kilka dobrych lat działałeś w dwóch organizacjach: eFTe i Slow Food. Co wniosły do Twojego życia?

eFTe to organizacja, która na zawsze zmieniła moje życie. Otworzyła mi oczy na różnego rodzaju kwestie, takie jak wpływ konsumpcji na nasze życie czy chociażby wpływ konsumentów na producentów. Mamy realną siłę. Działalność eFTe obejmuje promocję świadomej konsumpcji, odpowiedzialnego biznesu i sprawiedliwego handlu. Później był warszawski Slow Food, czyli organizacja gastronomiczna… Ekogastronomiczna. Poznałem tam wielu wspaniałych ludzi. Teraz wspólnie z grupą młodych osób jesteśmy w przededniu założenia – Slow Food Youth Warszawa. Mamy zamiar działać razem na rzecz promocji dobrego jedzenia i edukacji kulinarnej.

Jesteś typem aktywisty. Wsparłeś także kampanię Greenpace'u przeciwko GMO. Widzisz w tym realne zagrożenie? Wielu zwolenników uważa, że dzięki genetycznie modyfikowanej żywności można rozwiązać problem głodu na świecie…

Niestety, prawda jest taka, że gdybyśmy rzeczywiście chcieli zapobiec temu zjawisku, to już dawno byśmy się tym zajęli. Na ziemi mamy dwa razy więcej jedzenia niż jesteśmy w stanie przejeść. Problem głodu nie dotyczy ilości, lecz dystrybucji żywności. Ale to już inny temat. Jeśli chodzi o GMO, to uważam, że jej wpływ na nasze zdrowie to jedna kwestia, zaś ryzyko ekonomiczne, które za sobą niesie to druga. I właśnie w tej ostatniej widziałbym realne zagrożenie. Przyzwolenie na produkcję genetycznie modyfikowanych organizmów jest równoznaczne ze wspieraniem interesów wielkich koncernów – właścicieli patentów, przy których zwykły rolnik nie ma żadnych szans. GMO są w końcu produktami patentowanymi, zatem uprawiający je rolnik jest wyłącznie licencjobiorcą, a nie realnym właścicielem swoich plonów i ziaren.

Poza tym rozpowszechnienie GMO zagraża różnorodności biologicznej. Zamiast mieć kilkadziesiąt odmian danej rośliny, co dla ekosystemu ma kluczowe znaczenie, rynek zostaje zdominowany przez jedną odmianę, której uprawa jest najbardziej efektywna. Niesie to za sobą mnóstwo nieprzewidzianych skutków.

KACZKA W AZJI

Kaczka to potrawa doceniana przez Europejczyków. Często serwowana jest z jabłkami, pomarańczami i cynamonem, a także z konfiturami czy owocami leśnymi. Przyrządzona w stylu azjatyckim z groszkiem cukrowym, makaronem pszennym i migdałami odkrywa przed nami nowe smaki. To wszystko przyprawione odrobiną kardamonu, anyżu, galangi czy sosu rybnego nadaje potrawie wyrazisty charakter. Mięso kaczki wysmażone na woku z wierzchu jest chrupkie, a w środku soczyste.

Różnorodność smaków – oto sekret tej potrawy.

Zwolennicy kaczki poszukują jej kolejnych odsłon.
My skupiliśmy się na tych orientalnych, przygotowując warsztaty smaku kuchni azjatyckiej.
To podróż kulinarna przez Tajlandię, Malezję, Singapur i Indonezję.

Pasja tworzenia smaków

PERFETTO®

GODZINA Z PIOTREM GALIŃSKIM

Wydawałoby się, że godzina na rozmowę o życiu, ekologii, gospodarstwie, dobrej kuchni i telewizji to za mało. A jednak okazuje się, że tyle czasu wystarczy na odklejenie łatki mistrza ciętego języka i przyklejenie nowej, prawdziwej i o wiele ciekawszej. No bo, jak tu jej nie odkleić, gdy Piotr Galiński z błyskiem w oku zaczyna opowiadać o swoim malowniczym gospodarstwie na Mazurach, o pasji gotowania czy kolekcjonowania mebli z duszą. To człowiek z unikalnym podejściem do życia. Ceni przyrodę, kocha zwierzęta, myśli ekologicznie i uwielbia życie na wsi.

Rozmawiała: Iwona Szostak

Częściej można Pana spotkać w Warszawie czy na wsi na Mazurach?

Właściwie to już od dziesięciu lat mam stały podział. Trzy dni w tygodniu, maksymalnie cztery, jestem tu w stolicy albo w innej części Polski. A resztę dni tygodnia spędzam na Mazurach. Zawsze, pomimo największego natłoku obowiązków, staram się wpaść na Mazury. Chociaż na jeden dzień, bo jeśli tego nie zrobię, to czuję się źle.

Dlaczego? Czy w mieście coś Panu przeszkadza?

Nie. W stolicy wszystko jest super. To chodzi o to, że Mazury są magiczne.

I Pana dom?

To przede wszystkim. Moje gospodarstwo położone jest w przepięknym, malowniczym miejscu, w takiej głuszy między Mrągowem a Biskupcem, z dala od szlaków turystycznych, jezior i ruchliwej drogi. Jest na uboczu, dzięki czemu mam ciszę, spokój. Mogę cieszyć się dzikimi Mazurami. I to jest ten wielki plus. Cały dom otoczony jest moimi łąkami i moimi lasami.

Zimą też jest tak cudownie z dala od miasta?

W tej chwili to już jest bajka. Przez te piętnaście lat zdążyłem przywyknąć. Ale pamiętam, że początki były okrutne. Budzę się rano, a przed domem pół metra śniegu. Obowiązki zawodowe naglą, a tu nie widać drogi, nie ma szans, żeby wyjechać samochodem. Na szczęście, w tej chwili jest to troszeczkę inaczej zorganizowane. Zawsze w razie dużych opadów śniegu dzwonię do odpowiedniej osoby, która wie, że muszę dojechać do Warszawy i na czas odśnieża drogę.

15 lat temu wiedział Pan, na co się pisze?

Może nie do końca, bo pamiętam, że na wieś przeprowadziłem się w kwietniu, już po roztopach. Dojechałem do połowy polnej drogi, po czym wysiadłem, wyjąłem chleb, masło, słoik ogórków kiszonych i piechotą poszedłem do chałupy. Takie były początki. W tym roku moim zmartwieniem był mróz, bo mam nieogrzewane stajnie. Martwiłem się o zwierzęta. Chociaż znam ludzi, którzy na Mazurach chowają konie bez stajni, stosują zimny wychów, stawiają wiaty chroniące od wiatru.

Czy w tym roku musiał się Pan też martwić o opał?

Już w trakcie wakacji zgromadziłem tzw. gałęziówkę, czyli odpady, które pozostają po wyrębach lasów. Nie korzystam z takiego drewna, które jest piękne i zdrowe. Do kominka, który ogrzewa całą chałupę, wrzucam tylko opał pozyskiwany ze ścinki drzew.

To wymaga wcześniejszego zaplanowania. Sądzę, że jest Pan zorganizowaną osobą?

To zorganizowanie wynika z dwoistości tego życia, trochę w mieście, trochę na wsi.

Ale udaje się.

No udaje się, ale to zorganizowanie czasami graniczy z cudem. Ja naprawdę muszę dokładnie wiedzieć, kiedy i co mam. Czyli wszystkie tego typu spotkania jak z Panią muszą być naprawdę dokładnie przemyślane. Dzisiaj mam jeszcze jedno i dodatkowo sześć godzin zajęć tanecznych. Kończę o 22.00 i nocą wracam na Mazury, bo szkoda mi tracić kolejnego dnia.

Każdy anioł ma znaczenie. Jak dużo ich Pan uzbierał?

W tej chwili nie liczę. Był taki okres, że liczyłem, ale to do momentu życia w Olsztynie, w mieszkanku, takim zwykłym M. A później jak się przeprowadziłem na wieś, to ilość aniołów bardzo wzrosła. Już ludzie wiedzieli, że je zbieram. Nawet Beata Tyszkiewicz przywiozła mi anioła ze Szwajcarii, gdzie była u swojej córki. Także jest ich multum. Najfajniejszy prezent dostałem też od Iwony Pavlović na pięćdziesiąte urodziny, podarowała mi 50 aniołów w jednym egzemplarzu. Zamówiła je u olsztyńskiej plastyczki. Każdy remont mieszkania związany jest z tym, że te anioły trzeba zdjąć, skrzętnie popakować w kartony. Potem już nie wracają na swoje miejsca, wędrują na nowe, bo jest nowa aranżacja chałupy. Ale wie Pani, przez to jest jakiś klimat w tym domu – śmieszny, inny.

Zadbał Pan o oryginalną aranżację domu, gotuje Pan bardzo ciekawe potrawy z naturalnych produktów. I tak się zastanawiam, dlaczego nie ma Pan jeszcze swojego programu kulinarnego.

Były propozycje, ale warunki mi nie odpowiadały. Marzy mi się program, ale kręcony u mnie na Mazurach. Mam też kuchnie polową, zbudowaną jak gdyby na zewnątrz. Latem, na świeżym powietrzu, mógłbym gotować posiłki, w ogóle nie ruszając się z ogródka. Proszę sobie wyobrazić, jestem w ogrodzie i trzy metry dalej jest mój warzywniak, do którego idę po pietruszkę. Nie mógłbym gotować w jakiejś wynajętej restauracyjce, bo to nie jest mój sposób gotowania.

Dziwię się, że nikt tego nie podchwycił, tym bardziej, że obycie z kamerą już Pan ma.

Mam też za sobą różne kulinarne pokazy. Pamiętam mój rekord gotowania na oczach 400 osób. Wtedy gotowałem zupę pokrzywową mazurską w Muzeum Sztuki Ludowej w Olsztynku. Przyrządzałem ją w takim wielkim garze wojskowym. Jednocześnie mówiłem, jak trzeba ją wykonać, jakie składniki wrzucić, co zrobić żeby pokrzywa nie poparzyła. A do tego musiałem tak ugotować, żeby wszyscy chcieli ją zjeść.

Ogólnie wydaje mi się, że bardzo dobrze Pan się czuje w występach na żywo. Nie brakuje Panu tego?

Nie jestem człowiekiem, który łączy przyszłość z telewizją. Absolutnie, to był bardzo miły epizod w moim życiu. Ja nie zabiegam jakoś specjalnie o popularność, wręcz odwrotnie, odmawiam. Tutaj, jak się dowiedziałem, że magazyn dotyczy ekologii – co jest moją pasją, to z przyjemnością się zgodziłem. Proszę sobie wyobrazić. Teraz wiosną nie wiedzieliśmy, czy będzie kolejna edycja programu „Taniec z gwiazdami", czy nie. Więc w moim przypadku to się odbija tak, że muszę rezygnować z wielu innych propozycji zawodowych. Na przykład musiałem odmówić udziału w Mistrzostwach Świata w Norwegii jako sędzia. No to co, teraz mam zadzwonić, że aha… chyba jednak programu nie będzie, to mogę przyjechać – takich rzeczy się nie robi.

Kariera nigdy nie uderzyła Panu do głowy?

Ja trafiłem do programu z pewnym bagażem doświadczeń na plecach. Posiadałem już spory dorobek choreograficzny. Trenowałem zespoły, które jako jedne z pierwszych w historii Polski zdobywały mistrzostwa świata. Na przykład na 6 par zawodowych występujących w finale Mistrzostw Polski, 5 było trenowanych przeze mnie. Nawet teraz trenuję mistrzynię świata w tańcu jazzowym.
Może gdybym zaczynał przygodę z telewizją w wieku 25 czy 30 lat… Zresztą, na początku programu, ta nagonka medialna, żeby się dowiedzieć, kto to jest Galiński, ile on ma dzieci, czy ślubne, czy nie… to była masakra. A teraz też wypisywali, że Galiński brzydko mówi do tancerzy.
Pomimo to wiem, że program ma rzeszę zwolenników i cieszę się, że dzięki niemu Polska się roztańczyła. Jak będzie kolejna edycja to fajnie, jak nie, no to szkoda, bo program przede wszystkim popularyzował taniec.

Z jednej strony taniec, z drugiej gotowanie, gospodarstwo na głowie, a od czasu do czasu telewizja. Sporo obowiązków.

Dlatego mieszkam na Mazurach od tych 15 lat, żeby to życie nabrało wolniejszego tempa, żeby (ogólnie rzecz biorąc) było slow i constans.
Często zdarza się, że gdzieś wyjeżdżam, na przykład na tydzień do Kanady czy tak, jak teraz do Chicago, żeby ułożyć choreografię mistrzom świata w show dance. Wtedy trzeba się zmobilizować, przygotować, pojechać, wykonać. A ten constans to poczucie, że później, po wytężonej pracy, mogę wrócić do miejsca, które jest po prostu unikatowe, które rozwija się tak, jak chcę, jest budujące. Poza tym, w moim gospodarstwie, na kawałku mojej ziemi, nic nie może się zdarzyć, czego ja bym sobie nie życzył.
Czyli nie może mi ktoś wpaść i zapolować na moim obszarze, bo nie może…
Niech poluje sobie w lesie państwowym.

A jak wyobraża Pan sobie swoje gospodarstwo za kilka lat?

Zastanawiam się, czy w przyszłości nie zrobię z niego takiego gospodarstwa, do którego będą mogły przyjeżdżać dzieci z miasta, żeby mogły zobaczyć, jak rośnie marchew. Bo jeszcze niedawno były u mnie dzieci z Warszawy i na widok cielaczka zapytały: „Panie Piotrze, a ta krówka, to gdzie ma te kartoniki na mleko?".
Widziałem taki program, gdzie człowiek przekształcił swoje gospodarstwo w taki park spacerowy, gdzie można zobaczyć, jak rośnie burak, marchew, pietruszka i mało tego, można na przykład zerwać groch i zjeść go, pooglądać zwierzęta i skończyć fajną wędrówkę przy ognisku.
To jest to, nad czym głęboko się zastanawiam.

(fashion)

Modowe laboratorium

SLOW FASHION CZYLI KTO TU RZĄDZI?

Coco Chanel mawiała: *Moda nie istnieje wyłącznie w ubiorach. Moda jest na niebie, na ulicy, moda to idee, sposób życia, wszystko to, co się dzieje*. Modę mamy więc taką, na jaką zasługujemy. Cierpiąc na chroniczny brak czasu, nie zwracamy uwagi na to, co na siebie zakładamy. Na horyzoncie pojawiają się pierwsze przesłanki sugerujące nadejście wielkich zmian.

Tekst: Joanna Lompart-Chlaściak

Spiesz się powoli

Moda szybka czy moda wolna? Wbrew pozorom nie chodzi tu ani o czas, ani o prędkość. Czas jest skutkiem, a nie przyczyną. Stanowczo stwierdza to Kate Fletcher, jedna z prekursorek ruchu *slow fashion*, wykładowca akademicki i konsultantka brytyjskiej Izby Lordów ds. odpowiedzialnej mody. W swoim artykule w „The Ecologist" z września 2007 roku, pani Fletcher mówi wprost, że nie o szybkość tu idzie, ale o chciwość. O światopogląd, który nakazuje: sprzedawaj więcej i zarabiaj więcej. To żądza pieniędzy sprawia, że przemysł odzieżowy nabiera tak dużego tempa. Jak długo dziś zajmuje wprowadzenie nowej kolekcji na rynek? Rekordziści robią to w niecały miesiąc – Zara w piętnaście dni[1], H&M w dwadzieścia[2]. Projektanci sieciówek objeżdżają największe pokazy mody, czerpiąc inspiracje z wybiegów. W ten sam dzień szkicują projekty i wysyłają do centrali. Czasem ociera się to o plagiat. Amerykańska marka Forever 21 ma na swoim koncie kilkadziesiąt procesów sądowych o naruszenie własności intelektualnej, wytyczonych przez inne firmy odzieżowe (między innymi przez Gwen Stefani). Krótki proces produkcji przekłada się na niską jakość. Tzw. szybkie ubrania mamy użyć średnio dziesięć razy…

1 K. Ferdows, M. A. Lewis, Jose A.D. MacHuca, *Rapid-Fire Fulfillment* [w:] *Harvard Business Review 2004.*

2 S. Raper Larenaudie, *Inside The H&M Fashion Machine* [w:] *Time* 2004.

Zabójcze dżinsy

Organizacje pozarządowe, takie jak europejska Clean Clothes Campaign (CCC), starają się demaskować nadużycia odzieżowych gigantów zarówno w zakresie przestrzegania praw człowieka, jak i ochrony środowiska. Jedną ze sztandarowych akcji CCC jest apel do firm produkujących dżinsy o zaprzestanie ich piaskowania. Technologia ta nadaje spodniom znoszony wygląd, a co za tym idzie (paradoksalnie) zwiększa ich cenę. Ale piaskowanie bez przestrzegania norm i zasad BHP wywołuje nieuleczalną pylicę, która może prowadzić do śmierci. Lekarze w Turcji zdiagnozowali chorobę u osób pracujących w fabrykach dżinsów zaledwie przez 6 miesięcy. Dlaczego? Według prawa europejskiego dopuszczalna zawartość krzemu w procesie to mniej niż 1%, a piasek stosowany w Turcji miał go nawet 80%[3]. Tureckie Ministerstwo Zdrowia zaalarmowane przypadkami śmierci pracowników zakazało piaskowania dżinsów w 2009 roku. Do akcji przyłączyło się (do chwili obecnej) 19 firm, które zmieniły sposób postarzania dżinsów (między innymi Armani, Gucci, C&A, H&M i Levi-Strauss). Podejrzewa się, że produkcję przeniesiono po prostu do Egiptu, Jordanu, Syrii, Bangladeszu i Chin. Akcja więc trwa.

3 Dane opublikowane przez Clean Clothes Campaign, http://www.cleanclothes.org/resources/ccc/working-conditions/information-on-sandblasting, dostęp 05.04.2012.

Ulubione spodnie świata stanowią zagrożenie nie tylko dla człowieka, lecz także dla środowiska. Jedna trzecia ich globalnej produkcji ma miejsce w mieście Xintang w Chinach. Jest tam 5 tys. fabryk, w których pracuje około miliona osób. W 2010 roku Greenpeace opublikował zdjęcia satelitarne ukazujące katastrofalne zanieczyszczenie miejskiej rzeki granatowym barwnikiem z fabryk. Testy laboratoryjne próbek wody wykazały obecność pięciu ciężkich metali (kadmu, chromu, rtęci, ołowiu oraz miedzi), które są wykorzystywane przy farbowaniu dżinsu. W jednej z próbek stężenie kadmu przekraczało chińskie normy 128 razy.

Azjatyckie tygrysy budzą się

Kambodża to obecnie arena walki o prawa pracownicze. Oficjalnie państwo reguluje tam wiele kwestii: wprowadzona jest pensja minimalna, wolność zrzeszania się, obowiązuje zakaz pracy nieletnich, a nawet gwarancja dodatkowych przerw dla karmiących matek. Światowa Organizacja Pracy przeprowadza kontrole w fabrykach odzieżowych, w których pracuje łącznie prawie 400 tys. osób. Szyją one ubrania dla firm takich, jak H&M, Gap, Adidas i Puma. Na pozór idealne miejsce do produkcji – tanio, ale ciągle etycznie. Ten sielski obraz został gwałtownie zburzony w 2010 roku. W trzydniowym strajku wzięło udział ponad 200 tys. pracowników z 90 fabryk odzieżowych. Sprawa nabrała światowego rozgłosu w lutym bieżącego roku, gdy organizacja Asia Floor Wage Alliance zorganizowała w stolicy Kambodży trybunał (spotkanie na wzór rozprawy sądowej). W roli sędziów wystąpili międzynarodowi przedstawiciele związków zawodowych, a zeznania złożyli pracownicy zakładów i reprezentanci niektórych marek (Adidas i Puma). Zabrakło przedstawicieli fabryk i rządu. Rozpatrywano przypadki masowych omdleń młodych kobiet w trakcie pracy; niewypłacania wynagrodzenia za urlop macierzyński, obowiązkowych nadgodzin oraz pensji, które nie wystarczają na pokrycie podstawowych wydatków. Po rozprawie trybunał orzekł, że sytuacja pracowników w przemyśle odzieżowym w Kambodży jest naruszeniem fudamentalnego prawa do godnego życia. Werdykt nie ma oczywiście żadnej mocy wiążącej, ale stanowi precendens w tego rodzaju konfliktach.

New York, New York

Problem wyzysku nie jest zarezerwowany dla krajów rozwijających się. W Stanach Zjednoczonych głośna jest obecnie sprawa warunków pracy w nowojorskim zakładzie szyjącym dla projektanta Alexandra Wanga. W lutym tego roku trzydziestu pracowników złożyło pozew o odszkodowanie[4] o łącznej wysokości 450 milionów dolarów. Twierdzą, że byli zmuszani do pracy przez 16 godzin dziennie, nie otrzymywali wynagrodzenia za nadgodziny, a pomieszczenie, w którym pracowali, było za małe, nie miało okien ani wentylacji. Postępowanie sądowe (pozew ma być teraz złożony do sądu federalnego) trwać będzie zapewne kilka lat, ale ścieżka została już wcześniej przetarta. W 2000 roku pracownice (głównie emigrantki z Meksyku i Chin) szyjące na Manhatanie dla domu mody Donna Karan pozwały firmę w podobnej sprawie. Twierdziły, że ograniczano im wyjścia do toalety, zakazywano używania telefonów komórkowych, praca trwała przez siedem dni w tygodniu po 10–11 godzin dziennie, płatny urlop wypoczynkowy czy macierzyński nie istniał. Trzy lata później doszło do ugody, w wyniku której szwaczki otrzymały ponad 500 tys. dolarów.

4 Pozew złożony został w Queens Supreme Court w Nowym Jorku. 19 marca *Vogue* podał, że sprawę z tego sądu wycofano z zamiarem złożenia jej do sądu wyższej instancji – federalnego. Powód zatrudnił też prawnika specjalizującego się w prawie pracy. Źródło: http://www.vogue.co.uk/news/2012/03/07/alexander-wang-disputes-sweatshop-claims.

TRASHION
TWÓRCZY RECYKLING W MODZIE

To, co niepotrzebne i niemodne automatycznie ląduje w koszu. Błąd! Należy wyłączyć wewnętrznego autopilota, zresetować umysł i przez chwilę pogłówkować nad tym, co zrobić, żeby zamienić stare przedmioty, bezużyteczne ubrania na coś naprawdę fajnego. Wystarczy odrobina wyobraźni i modowe perełki gotowe. Trashion – drugie życie ciuchowych staroci – to trend lansowany na całym świecie.

tekst: Iwona Szostak, Edyta Złomaniec

TRASHION PO POLSKU

Co powstanie z połączenia dwóch na pozór obcych sobie pojęć: trash (śmieć) i fashion (moda)? Trashion – twórczy recykling. Filozofia głosząca: chcieć znaczy móc. Praktyczne zastosowanie trzech zasad - reduce, reuse, recycle. Nowy nurt obejmujący zarówno ubrania, dodatki z odzysku (biżuterię, torby), jak i bibeloty do aranżacji wnętrz. Tylko dla odważnych. Do popularyzacji Trashion przyczyniła się amerykańska artystka i działaczka na rzecz środowiska – Ann Wizer. W latach 90. zaprojektowała oryginalną kolekcję z elementami plastikowych odpadów. Także na naszym rodzimym gruncie wielu artystów odkryło potencjał w działaniu na starej, wyeksploatowanej rzeczy. Podążając tropem Wizer, Jagoda Wilczyńska stworzyła trzy niebanalne kreacje.

Firanka
Zasłona z lat 90.
Czarny plastikowy worek na śmieci
Złota dekoracyjna siatka do bukietów
Trashion by Jagoda Wilczyńska

Modelka: Barbara Kozłowska
Zdjęcia: Jagoda Wilczyńska

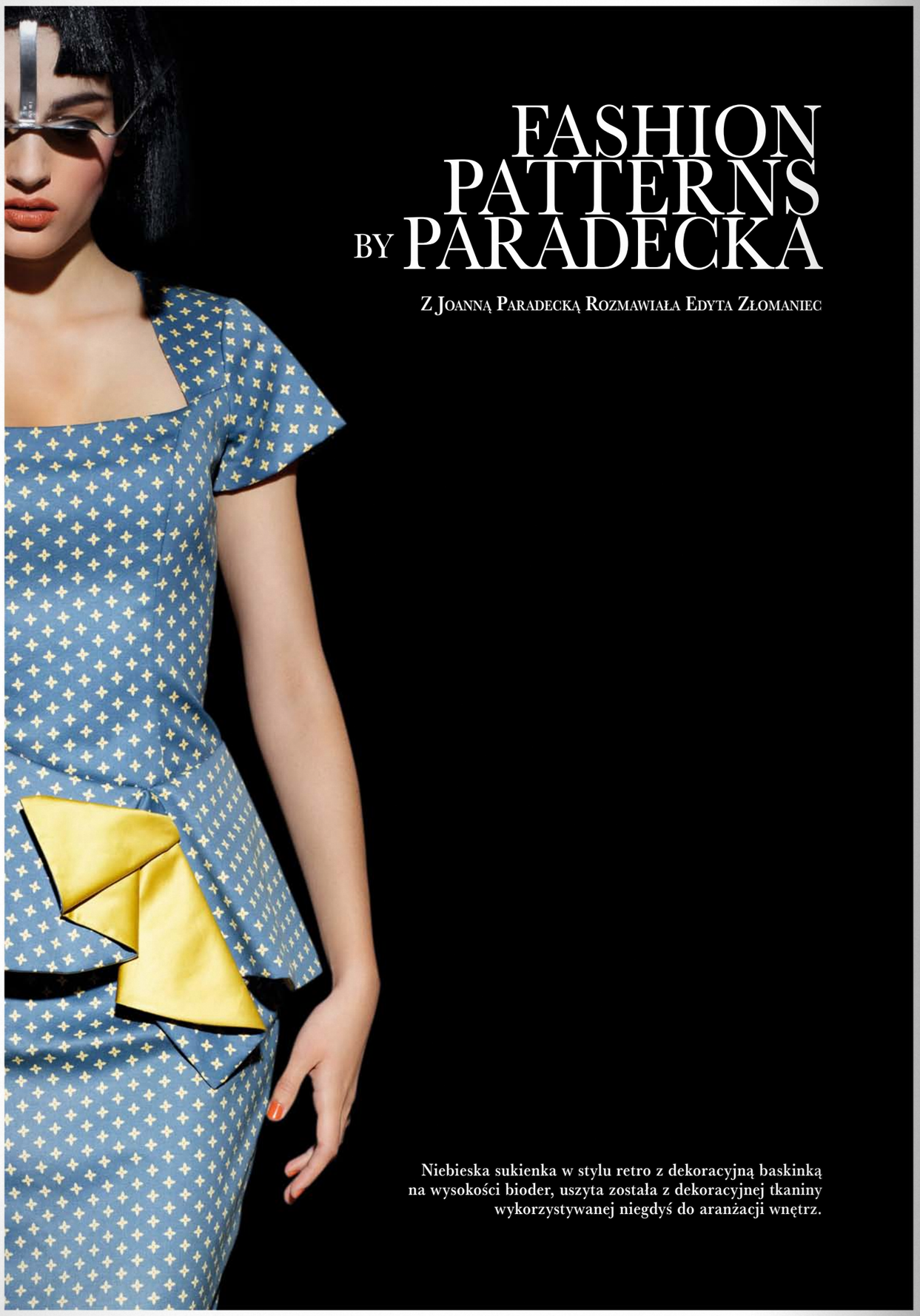

FASHION PATTERNS BY PARADECKA

Z Joanną Paradecką Rozmawiała Edyta Złomaniec

Niebieska sukienka w stylu retro z dekoracyjną baskinką na wysokości bioder, uszyta została z dekoracyjnej tkaniny wykorzystywanej niegdyś do aranżacji wnętrz.

Recyclingowa haute couture – tak można nazwać jej twórczość, chociaż sama woli określenie hand-remade. W sezonie s/s 2012 postawiła na pattern, który podbił serca polskich fashionistów w Łodzi. Bo z modą jak ze sztuką – trzeba eksperymentować. O pracy w przemyśle modowym i kolekcji s/s 2012 opowiada projektantka, królowa polskiego recyklingu – Joanna Paradecka.

Czym jest modowy recykling?

To projektowanie jak każde inne. Działanie na gotowej rzeczy – bardziej na jej formie niż płaszczyźnie. Jest niezwykle inspirujące. Ma więcej wspólnego ze sztuką niż krawiectwem, daje mnóstwo możliwości, powstają ciekawe pomysły. Technikę twórczego recyklingu wykorzystuje mnóstwo topowych projektantów na całym świecie, takich jak Martin Margiela, Rei Kawakubo czy nieżyjący już McQueen.

Skąd pozyskuje pani surowiec do swoich projektów?

Różnie, najczęściej z second handów. Wiele lat mieszkałam w Londynie, przywiozłam stamtąd naprawdę sporo półproduktów, które wystarczą mi na dobrych kilka lat. Są to na ogół gotowe ubrania, np. marynarki, bluzki, spodnie. Często wykorzystuję też same tkaniny.

Co było inspiracją do stworzenia najnowszej kolekcji s/s 2012?

Główną inspiracja był pattern – dominujący motyw na tkaninie, prosty powtarzający się nadruk. Wykorzystałam tkaniny w desenie adresowane do dzieci.
Już podczas przygotowywania poprzedniej kolekcji inspirował mnie druk. Stworzyłam serię legginsów o różnych wzorach. Teraz chciałam wykorzystać pattern nie tylko na jednym elemencie garderoby, ale także w całości kompozycji stroju.

Do kogo skierowana jest ta kolekcja?

Adresatką może być młoda odważna kobieta, która nie boi się eksperymentować, bawi się modą. To, co łączyło moje dotychczasowe klientki, to pewna skłonność do odrobiny szaleństwa w stroju, poszukiwanie unikatowych ciuchów.

Do czego przykłada Pani największą wagę, tworząc kolekcję?

Moje ubrania nie mogą być, kolokwialnie mówiąc, tanie. Muszą mieć superjakość. Każdy ciuch wychodzący z mojej pracowni jest unikatowy. Ręcznie konstruowany i szyty, na koniec starannie wykańczany. Zależy mi na zachowaniu najwyższej jakości na każdym etapie manufakturowej produkcji. Nie chcę robić czegoś, z czego nie byłabym zadowolona.

Czy ubrania z Pani kolekcji nadają się na polską ulicę?

Tworzę kolekcje bardziej pokazowe, nie zaś typowo prêt-à-porter. Ich poszczególne elementy da się rozdzielić i skomponować z klasycznymi spodniami czy bluzką. Będą świetną składową dla ekscentrycznych stylizacji nawet dojrzałych kobiet.

Jak ocenia Pani styl Polaków?

Ten styl bardzo się zmienia i zmierza w naprawdę dobrym kierunku. Młodzi Polacy są świadomi swojego stylu.
Uważam, że nie ma już większej różnicy pomiędzy centrum Londynu a Warszawy. Być może dlatego, że Polacy coraz częściej ubierają się w rzeczy sygnowane logo wielkich projektantów…
Osobiście nie lubię, kiedy ktoś jest ubrany w markową kreację od stóp do głów. Mam wrażenie, że wygląda wtedy jak w przebraniu. Cena ciuchów nie ma dla mnie znaczenia, nigdy nie jest kryterium oceny stroju.
Ktoś może mieć na sobie wyłącznie rzeczy z second handu i wyglądać szałowo.

Kolekcja 2012 miała premierę podczas jesiennego fashion week w Łodzi. Zamierza pokazać ją pani za granicą?

Mam takie plany, ale ich realizacja nie jest łatwa. Sama nie jestem w stanie zorganizować pokazu. Mogę pojechać jedynie na jakieś targi mody, ale żeby dostać na nie zaproszenie, trzeba mieć wyrobioną markę i dużo pieniędzy…
Co prawda miałam już jedną propozycję pokazania kolekcji w Kanadzie, ale niestety nie mogłam z niej skorzystać. Pojawiła się z dnia na dzień, a ja miałam już inne zobowiązania.

Czy w Polsce trudno odnieść sukces w przemyśle modowym?

Trudno, ponieważ polscy projektanci tworzą lokalnie. Designerzy z innych krajów, zwłaszcza z Zachodu, projektują globalnie. Kupuje u nich cały świat. U nas jest inaczej. Nie mamy wielkich domów mody, a jedynie niewielkie firmy. Nie mamy jak się wypromować.

Pracowała Pani w Danii i Londynie, skąd decyzja o powrocie do Polski?

Londyn daje na pewno więcej możliwości, ale jest tam też większa konkurencją. W Londynie po prostu wszyscy zajmują się modą. Wszyscy są projektantami, fotografami, muzykami. Tworzy się skupisko twórców napływających z całego świata, którzy widzą w tym mieście szansę na wielką karierę.

Kto jest dla Pani największą modową inspiracją?

Chyba Vivienne Westwood. Ma tyle lat, a wciąż jest tak cudownie zwariowana. Poza tym lubię jej konsekwencję. Bardzo cenię też projektantów wywodzących się ze szkoły skandynawskiej i antwerpskiej. Nie mogę natomiast przekonać się do projektantów włoskich. Według mnie balansują na granicy kiczu… Francuzi są z kolei zbyt poprawni, stawiają na klasykę, a ja lubię szaleństwo!

Ma już pani plany na najbliższy rok?

W tej branży nie można niczego przewidzieć, jest tak mało stabilna. Czekam na inspirację. Nieustannie o tym myślę.

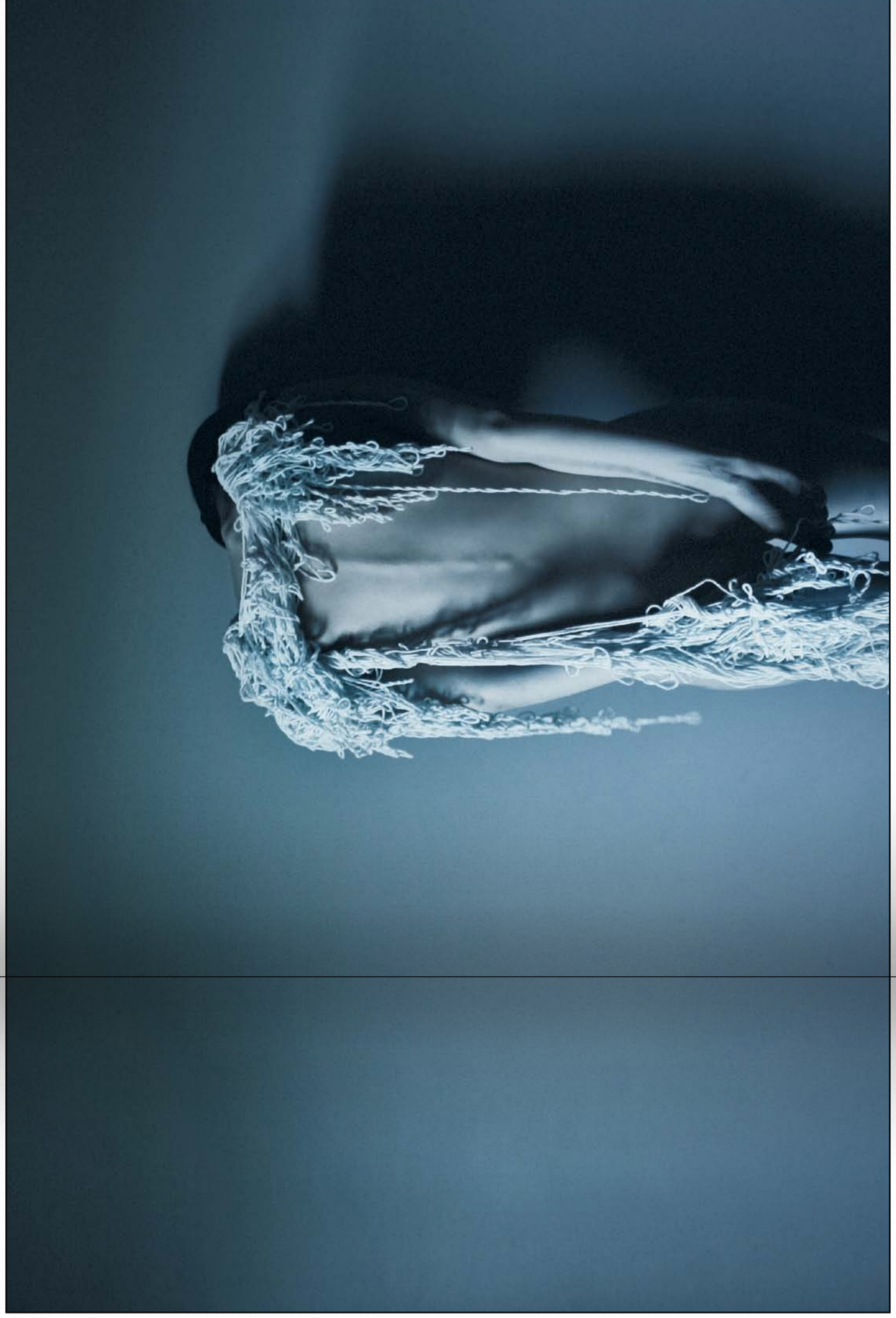

W Ł Ó C Z K Ą O P Ę T A N I

Organizacja sesji i zdjęcia: Jagoda Wilczyńska

(SLOW)

HOLLYWOODZKI ŚCIEG

O tym, że robienie na drutach jest trendy, przekonały się także sławy. Beata Tyszkiewicz – pierwsza dama polskiego kina obdarzona doskonałym wyczuciem stylu, w jednym ze swoich wywiadów wyznała, że w wolnych chwilach dzierga sweterki, które później rozdaje dzieciom. Na drutach robiły też światowe ikony stylu takie jak: Audrey Hepburn czy Katharine Hepburn. Dzisiaj ta moda opanowała całe Hollywood. Amerykański knitting stał się terapią, stylem życia i pasją. Szydełkują Meryl Streep, Kate Hudson czy Kate Moss. Dziergających kobiet nie brakuje również w literaturze i na dużych ekranach. Piękna Katherine Heigl, w filmie będącym adaptacją słynnej książki Ann Hood „The Knitting Circle", wciela się w rolę bohaterki, która wraz z przyjaciółkami organizuje spotkania z drutami. Popularne aktorki z serialu „Seks w wielkim mieście" nie raz widziane były z drutami i kłębkiem włóczki - Sarah Jessica Parker, Kristen Davis i Charlotte York.

Tekst: Joanna Bucior

ONCE UPON A TIME IN THE LAND FAR, FAR AWAY THERE WAS A BEAUTIFUL PRINCESS. SHE WAS CALLED SNOW WHITE...

Grafika: Anna Jasińska
Zdjęcia: Oktawian Górnik
Modelka: Zosia | Mango Models
Stylizacja: Joanna Bucior, Wizaż: Sylwia Sokołowska
Asysta: Jakub Kierski, Rafał Kłos, Bartłomiej Pałubicki
Kreacje: Lana Nguyen, Charlotte Rouge, Zień; Biżuteria: Cocktail'me
Specjalne podziękowania dla sklepu z meblami Criterion Antyki London

mirror, mirror...

Sukienka: **ZIEŃ**
Biżuteria: COCKTAIL'ME

bijoux
OLIWKA
GROCH'al

fotografia
Oliwia Grochal
www.oliwiagrochal.com

mua
Kasia Milczyńska

stylizacja
Dorota Bielecka

model
Maciej Dąbroś

modelka
Angela | 8fi model management

Paprykowe Kolczyki
twarz i oczy – podkład mineralny i mąka zamiast pudru
oczy – mąka i węgiel, rzęsy lekko sklejone syropem klonowym
usta – zabarwione wyciśniętym sokiem z buraka i miodem

Korona z Miechunki (Physalis)
twarz i oczy – podkład mineralny i mąka zamiast pudru
brwi – lekko sklejone syropem klonowym, posypane mąką
usta – miód i przyprawa kurkuma

Naszyjnik cykoria i lychee
twarz i oczy – podkład mineralny i mąka zamiast pudru | brwi – lekko sklejone syropem klonowym, oprószone mąką | oczy – mąka, kreska – węgiel, rzęsy lekko sklejone syropem klonowym
usta – miód i cukier gruboziarnisty

Kreza z fasolki szparagowej
twarz i oczy – podkład mineralny i mąka zamiast pudru

Gładką skórę modeli zapewnił peeling z kawy i oliwy.

Sesja zrealizowana dzięki uprzejmości agencji 8fi model management.

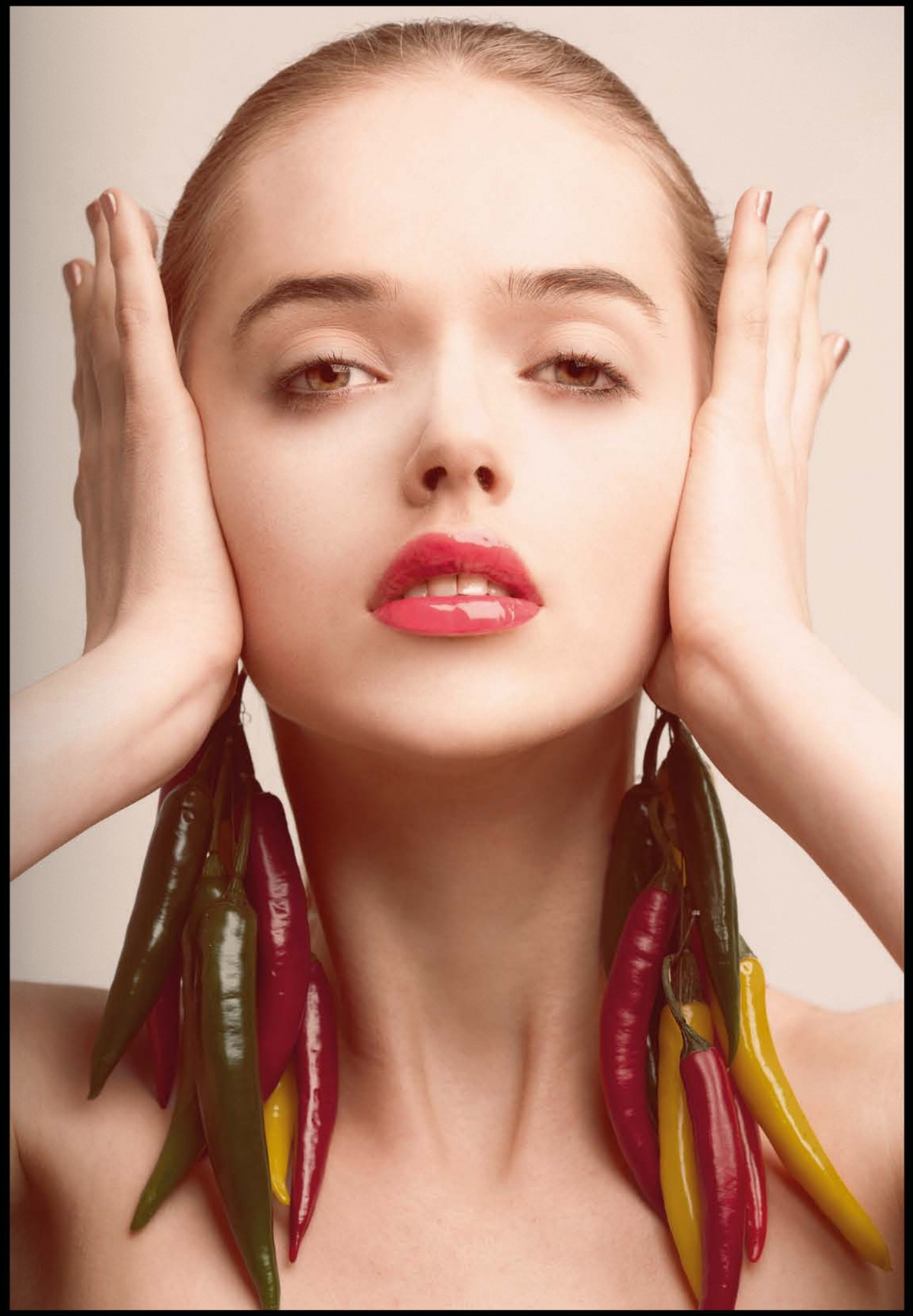

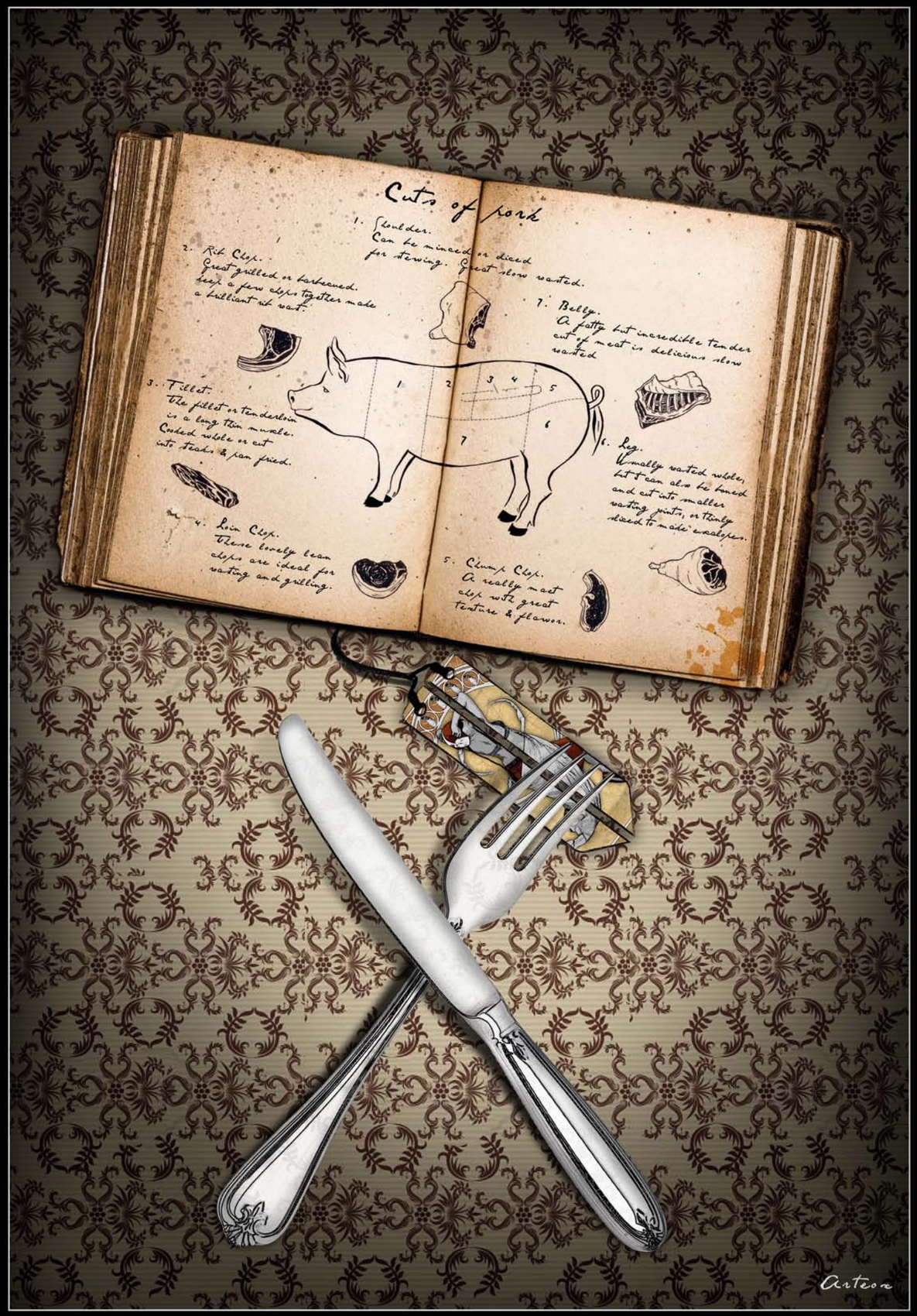

W oparach chemii…

W miarę upływu czasu zaczęto poszukiwać jak najskuteczniejszych sposobów utrwalania mięsa, by z zapasów można było korzystać również w okresach, gdy jego dostępność była ograniczona. Peklowanie jako jedna z technik konserwacji była znana już w XIV w. Pierwotnie używano jej do utrwalania ryb. To metoda chemiczna z użyciem soli morskiej. Dziś używane są specjalne mieszanki peklujące, składające się z soli wzbogaconej w azotyny lub saletrę. Czasem producenci proponują również inne substancje, które wpływają na jakość produktu końcowego. Utrwalone podczas peklowania mięso pozwalało na zachowanie specyficznego koloru produktu mięsnego, określonych walorów smakowych i zapachowych, poprzez jego odwodnienie. Znanych jest kilka typów peklowania: peklowanie na sucho – nacieranie ponacinanego mięsa mieszaniną peklującą, redukującą ilość wody. Produkt, względnie suchy i utrwalony, jest gotowy do spożycia dopiero po upływie od 4 do 8 tygodni. Peklowanie mokre odbywa się przez zanurzenie mięsa w roztworze soli – solance. Bardzo duże znaczenia ma tu właściwy dobór stężenia soli. Gotowy produkt uzyskujemy po 3–4 tygodniach, jest to mięso bardziej soczyste, lecz o krótszej trwałości. Przy peklowaniu nastrzykowym mamy do czynienia z wprowadzaniem mieszaniny do wewnątrz mięśni i naczyń, dzięki temu wyrób jest gotowy w ciągu zaledwie 14 dni.

Zastosowanie temperatury

Pieczenie, wędzenie, gotowanie i grillowanie to sposoby termicznego utrwalania mięsa, wykorzystywane do wyrobu wędlin. Pieczenie odbywa się w relatywnie wysokiej temperaturze, co powoduje wysuszenie produktu oraz zmiany w składzie chemicznym. Wśród nich wymienić należy utratę wody, witamin czy zmianę koloru na brązowawy, kojarzony przez konsumentów jako mniej apetyczny niż odcienie czerwieni. Nadmiernemu wysuszeniu mięsa zapobiec można, owijając pieczone kawałki płatami słoniny (tę czynność określa się fachowym terminem „barder"). Dzięki temu zachowywane zostaną zarówno walory smakowe, jak i wizualne. Na rynku wyroby pieczone spotkać można najczęściej w grupie produktów garmażeryjnych.

Gotowanie jako sposób wytwarzania wędlin jest relatywnie rzadkie, a docelową grupą konsumentów są osoby będące na diecie lekkostrawnej. Wśród szynek dostępnych na rynku znajdziemy jeden produkt gotowany. Od szynki ugotowanej w domu różni się barwą, co wskazuje na fakt, że gotowanie jest tylko częścią procesu wytwarzania, a gotowanie w nazwie jest tylko opisem producenta.

Wędzenie to jedna z najwyżej cenionych przez konsumentów metod utrwalania mięsa. Dym działa konserwująco. Produkt końcowy charakteryzuje się atrakcyjną barwą, smakiem i aromatem nierozerwalnie związanymi z jakością dymu wędzarniczego oraz rodzajem spalanego drewna. Dziś w przemyśle spożywczym różnicuje się wędzenie na zimno i na ciepło. Proces wędzenia na zimno przebiega w temperaturze 16–26°C. Proces wędzenia na ciepło w 80–100°C. Stosuje się go do produkcji artykułów świeżych, zatem nie ma on działania konserwującego, a jedynie walory smakowe. Coraz częściej spotykany jest termin wędzenia preparatami wędzarniczymi, co oznacza, że produkt łączony jest z płynnym preparatem, a następnie suszony. Pozwala to zachować warstwę koloryzującą i nadającą specyficzne cechy aromatyczne. Nie służy jednak utrwalaniu żywności.

Gorzka prawda

W przypadku produktów dostępnych dziś na rynku wędliniarskim mamy najczęściej do czynienia z procesem wytwarzania wędlin, na który składa się kilka opisanych powyżej technik. Należy zdawać sobie sprawę, że dziś to ekonomia decyduje, jaki produkt trafia do sklepu. Aby uzyskać jak największą wydajność, nastrzykuje się mięso chemicznymi preparatami. Ich zadaniem jest pochłanianie mieszaniny peklującej lub utrwalającej w inny sposób, np. dodając środki zmiękczające mięso, których receptury zostały oparte na bazie cytrynianów lub octanów, wzbogacone przeciwutleniaczem i wzmacniaczem smaku. Dzięki nim mięso jest zawsze świeże, soczyste i ma atrakcyjny wygląd. Poprzez zastosowanie nowoczesnych preparatów spożywczych dopuszczonych do obrotu i dostępnych na rynku możliwe jest uzyskanie wydajności rzędu 2 kg wędliny z 1 kg mięsa.

Jeśli chodzi o zachowanie walorów organoleptycznych (ocenianych, dzięki zmysłom), to w procesie produkcji stosowane są również preparaty komercyjne. Wśród nich wyróżnić można płynny dym wędzarniczy, opisany wcześniej, jak też: dodatki redukujące wyciek, stabilizujące barwę mięs i wędlin – neutralne smakowo, wysoce efektywne substancje białkowe i żelujące zapewniające maksymalną wydajność; wzmacniacze smaku do produkcji wszystkich wyrobów mięsnych, optymalnie wzmacniające naturalny smak i aromat mięs, oparte na glutaminianie sodu. Barwniki wytwarzane na bazie karminów i koszenili nadają wyrobom intensywną, pełną barwę, która pozostaje stabilna przez bardzo długi czas.

Ostrożność

Co my, konsumenci, możemy zrobić, aby dowiedzieć się jak najwięcej o produkcie przez nas preferowanym? Niekiedy nie mamy możliwości zapoznania się opisem producenta, np. jeśli korzystamy z działu obsługiwanego przez ekspedientki, które wcześniej wypakowują towar z opakowań transportowych. Jak zatem możemy przekonać się, czy w szynce dostępnej w promocji w naszym sklepiku jest dużo chemii? Zróbmy dwa proste doświadczenia.

- Po pierwsze, włóżmy do zamrażalnika plasterek wędliny. Po rozmrożeniu ilość płynu, która wyciekła, pozwoli nam osądzić, czy dodano substancji wiążących wodę.
- Po drugie, połóżmy plasterek wędliny w ciepłe miejsce i zaobserwujmy czy zzielenieje. Produkty wytwarzane tradycyjnie lub metodami domowymi będą zieleniały, wędliny konserwowane chemicznie prawie wcale nie zmienią koloru, natomiast pojawi się na nich białawy nalot.

Zanim pójdziemy na zakupy, stańmy się konsumentami świadomie decydującymi się na określone warunki handlowe. Jest to cenne, zwłaszcza w dobie kryzysu, gdy chcemy jak najefektywniej i najkorzystniej się odżywiać.

TEKST: JAKUB LIPCZIK
ILUSTRACJE: KRZYSZTOF ARTEOX ROGALSKI

W KOKONIE CZTERECH ŚCIAN

Mają czas na drobne przyjemności, głębsze refleksje i wyzwalający odpoczynek. Egzystują z dala od miejskiego zgiełku, pozostając w centrum metropolii. Kokoniarze. Jedni z wyboru, inni z przymusu. Wszyscy na granicy szaleństwa.

Tekst: Jakub Lipczik

Cocooning

Wskutek gwałtownego rozwoju cywilizacyjnego wykształciły się nowe trendy popkulturowe, pojawiły się nowe potrzeby i zachowania – ludzie atakowani na co dzień zbyt wieloma bodźcami zaczęli uprawiać kokonizm (z ang. cocooning). Termin ten oznacza świadomą izolację od społeczeństwa w ramach sprzeciwu wobec zawrotnego tempa życia i miejskiego wiru. Zjawisko tworzenia w domowych pieleszach zacisznego gniazdka (w którym tak, jak w kokonie można poczuć się bezpiecznie) jest coraz bardziej powszechne. Do kontaktów ze światem służy komputer, zarówno na płaszczyźnie towarzyskiej, jak i zawodowej.

Uprawiam cocooning

Tendencje niektórych do wycofywania się i zamykania w czterech ścianach, by odciąć się od zbyt nachalnej rzeczywistości, zostały zaobserwowane na początku lat 90. Określenia cocooning po raz pierwszy użyła Faith Popcorn, specjalistka od promowania marki, dostrzegając w zjawisku duży potencjał marketingowy. Od tamtego czasu radykalne domatorstwo wyewoluowało – z trendu do poszukiwania azylu stało się sposobem na życie, rodzajem manifestu oraz brakiem przyzwolenia na ślepą i histeryczną pogoń za pieniądzem. Ludzie, którzy zdecydowali się przejść na kokonizm, podkreślają, że jego podstawową wartością jest pełniejsze i głębsze przeżywanie życia, wolne od stresu i pośpiechu. Odnajdują radość w prostych przyjemnościach, mają czas na refleksje i rozwój duchowy. Zaczynają żyć bardziej świadomie.

– *Kiedyś nie obchodziło mnie, co i jak jem. Teraz mam czas, żeby przygotować bardziej ambitny posiłek niż jajecznica. Zakupy robię przez Internet. Gdy potrzebuję towarzystwa, zawsze znajdzie się znajomy, który skusi się na drinka przy konsoli* – opowiada Marek, inżynier z Warszawy i fan domatorstwa.

Mediom dziękujemy

Do popularyzacji tego nurtu przyczyniły się – jak zwykle – media, które w kampaniach społecznych, przede wszystkich w Stanach i Japonii, nawoływały do zwolnienia tempa życia, skupienia się na pielęgnowaniu domowego ogniska i wartości rodzinnych. Firmy zajmujące się aranżacją i wyposażeniem natychmiast wyczuły koniunkturę, tworząc profil usług dla nowego klienta – takiego, który nie wychodzi z domu. Portal CocoonZone.com ma w swojej ofercie niemal wszystko: od mebli i elementów dekoratorskich, sprzętu elektronicznego, przyrządów do ćwiczeń aż po gadżety dla hobbystów różnych dziedzin czy akcesoria dla zwierząt. Dla osób nieco mniej ortodoksyjnie usposobionych, które dopuszczają incydentalne porzucenie azylu, np. w celach turystycznych, również powstała specjalna oferta. Luksusowy Cocooning Hotel w Koh Samui w Tajlandii tak skonstruował swoją propozycję, by goście nie musieli opuszczać pokoju nawet na chwilę.

Pułapka izolacji

Ichiyo Habuchi, specjalista od mobilnych technologii, w książce „Personal, Portable, Pedestrian: Mobile Phones in Japanese Life" pisze o tele-cocooningu, w którym komunikacja między ludźmi odbywa się wyłącznie za pośrednictwem telefonu czy komputera. Taka forma kontaktu prowadzi do pełnego wycofania z realnego życia towarzyskiego, powodując kłopoty z odnalezieniem się w kontaktach bezpośrednich. Habuchi twierdzi, że regres emocjonalny może skutkować poważnymi zaburzeniami psychicznymi. Japonia borykała się z problemem ortodoksyjnego cocooningu jeszcze zanim nadano mu taką nazwę.

FETYSZ EKONOMICZNY… CZYLI CO Z TYM WZROSTEM?

Współczesne społeczeństwa są przesiąknięte ideologią wzrostu – przekonaniem, że jedynie sukcesywny przyrost wyprodukowanych i skonsumowanych dóbr i usług jest warunkiem godziwego życia. Dobrostan zamieniony został na dobrobyt. Dominuje wiara, że wzrost gospodarczy powinien mieć charakter permanentny. Nawet więcej – że być może nie istnieją jego granice albo jesteśmy jeszcze bardzo daleko od granic wzrostu. Poglądy kwestionujące ideologię wzrostu mają charakter zdecydowanie mniejszościowy.

Tekst: Przemysław Pluciński, Ilustracje: Beata Szczecińska

O co chodzi?

Wzrost gospodarczy jest jednym z kluczowych problemów makroekonomii. Dylematy z nim związane wykraczają daleko poza wąskospecjalistyczne zainteresowania akademików. Od kilkudziesięciu lat jest on bowiem naczelnym celem każdej polityki gospodarczej. Pojęcie wzrostu stało się zaklęciem w ustach polityków i fetyszem publicystów, nie tylko ekonomicznych…

Zarówno w centrum sfery publicznej nowoczesnych społeczeństw, w przekazach edukacyjnych, jak i w podręcznikach, wzrost gospodarczy traktuje się jak aksjomat. Problemy, jakie rodzi fetyszyzacja wzrostu, są przy tym nie tyle pomijane, co traktowane jako zło konieczne, jako efekt uboczny działań gospodarczych. Z drugiej strony, co jakiś czas do głosu dochodzą sceptycy, kładący nacisk raczej na koszty wzrostu niż na pożytki (z których głównym jest efektywniejsze zaspokojenie ludzkich potrzeb).

Przyjrzyjmy się wątpliwościom wokół wzrostu gospodarczego, rozpatrywanym według dwóch aspektów. Z perspektywy ograniczeń oraz z punktu widzenia pomiaru wzrostu, próbując jednocześnie uchwycić szerszy kontekst rozwoju.

Granice wzrostu

Mówiąc o wątpliwościach wokół wzrostu gospodarczego, nie sposób nie wspomnieć o słynnym raporcie Klubu Rzymskiego pt. „Granice wzrostu". Grupa naukowców zbudowała uproszczony model gospodarki światowej, eksponując narastające problemy współczesności. Raport miał charakter neomaltuzjański (od Thomasa Malthusa, brytyjskiego ekonomisty, badającego negatywne konsekwencje przyrostu demograficznego). Główna teza raportu była fatalistyczna i mówiła o rychłym (szacowanym na lata 1990-1995) wyczerpaniu się możliwości wzrostu gospodarczego na świecie. Wniosek ten wynikał z analizy głównych trendów: gwałtownego przyrostu światowej populacji, problemu niedostatku żywności, industrializacji, kończenia się zasobów nieodnawialnych i degradacji środowiska naturalnego.

Raport Klubu Rzymskiego formułował też środki zaradcze, oparte na kontroli populacyjnej. Choć fatalistyczne wnioski raportu nie znalazły do tej pory pokrycia w rzeczywistości (np. wskutek odkryć nowych złóż surowców energetycznych), to samej logiki przyjętej przez autorów raportu nie można jednak w całości zakwestionować. Granice wzrostu stały się opracowaniem wielokrotnie poddawanym krytyce.

Organizacja sesji i zdjęcia: Paulina Wydrzyńska

ZA 200 M SKRĘĆ W EKOLOGIĘ

Każdy kierowca, nawet ten, który przejechał kilkaset kilometrów, powinien wciąż udoskonalać technikę jazdy. Najlepiej w taki sposób, aby prowadzić ekologicznie. Istnieje wiele szkół, które proponują zajęcia teoretyczne i praktyczne z tzw. ecodrivingu.

Tekst: Jakub Lipczik

EcoDriving

Pojęcie „ecodrivingu" wywodzi się z krajów skandynawskich. Kilkanaście lat temu Finowie zaczęli modyfikować podstawowe zasady techniki jazdy, aby nie tylko oszczędzić naturze dodatkowego CO2, lecz także pozytywnie wpłynąć na żywotność i eksploatację samochodu.

Obecnie w większości krajów europejskich ecodriving jest powszechny, choć ciągle zdarzają się kierowcy, którzy albo nigdy nie spotkali się z tym terminem, albo uważają, że aby być ekokierowcą, trzeba jeździć wolniej.

Niektórzy mylą termin „ecodrive" z pojęciem „jazda ekonomiczna". Choć niewątpliwie te dwa sposoby poruszania się samochodem są ze sobą nierozerwalnie związane, to należy pamiętać, że chcąc stać się prawdziwym ekologicznym kierowcą, na pierwszym miejscu należy bezwzględnie postawić ochronę środowiska, a dopiero potem oszczędność pieniędzy – nie na odwrót.

Lekcja, notujemy!

Aby poznać zasady jazdy ekologicznej, poprosiłem o pomoc Kubę Bielaka, instruktora warszawskiej Akademii Bezpiecznej Jazdy. Wśród najważniejszych reguł, o których wspomina, jest rezygnacja z prowadzenia samochodu tzw. stylem szarpanym.

– *Wszystko opiera się na płynności jazdy, zatem należy rozpędzić maszynę tak, by po krótkim odcinku (np. na skrzyżowaniu) nie trzeba było gwałtownie hamować. Istotne jest także, by starać się utrzymywać samochód na: 2500–3000 obrotów silnika, a po przekroczeniu tego pułapu zmieniać bieg na wyższy (zależy od samochodu, którym się podróżuje). Do równie ważnych i jednocześnie najtrudniejszych zasad należy również utrzymanie stałej prędkości jazdy – rozpędzenie auta wymaga dużo energii, którą łatwo możemy zaoszczędzić. Ekonomicznej jeździe sprzyja dbanie o masę samochodu i zachowanie jego odpowiedniej aerodynamiki. Oznacza to, że powinniśmy unikać wożenia rzeczy zbędnych czy podróżowania z umieszczonym na dachu pustym bagażnikiem.*

Niestety, wpływ na możliwość korzystania z ecodrivingu mają także warunki drogowe danego kraju.

– *Chodzi tu o obecność dróg ekspresowych, niezakorkowanych, umożliwiających właśnie płynną jazdę. W Finlandii czy Szwecji 90% podróży samochodem odbywa się drogami szybkiego ruchu, co pozwala na większe zachowanie płynności. Dochodzi do tego także rozwój cywilizacyjny, który ma wpływ na życie ludzi w krajach rozwiniętych – kierowcy nie muszą się spieszyć, przez co unikają agresywnej jazdy* – mówi Kuba Bielak.

Aby skorzystać z powyższych rad, trzeba wyzbyć się przesądów i stereotypów na temat ecojazdy. Mitem jest m.in. to, że oszczędzamy paliwo, wrzucając na luz przy dojeżdżaniu do czerwonego światła. Mniej paliwa zużywamy, hamując silnikiem przy wrzuconym biegu. Układ zasilania silnika w paliwo jest tak skonstruowany, że podczas wykonywania manewru całkowicie odcina dopływ paliwa do cylindrów lub zmniejsza do śladowych ilości. Ponadto jazda staje się bezpieczniejsza – samochód na tzw. luzie trudniej opanować.

Za kolejny stereotyp uchodzi zwracanie uwagi na małe różnice ciśnienia w oponach. Okazuje się, że ciśnienie musi być dokładne z zaleceniami producenta.

Za fałsz uznaje się także przeświadczenie, że niskie obroty stanowią zagrożenie dla silnika. Ta teoria sprawdzała się jeszcze przy starych napędach – nowymi silnikami steruje komputer, który czuwa nad ich obrotami.

Samochody przyszłości

Chcąc zostać ekologicznym kierowcą, poza zmianą stylu jazdy, możemy wykorzystać także opcję technologiczną. W dzisiejszych czasach naukowcy coraz większą wagę przywiązują do projektowania samochodów nienapędzanych zwykłym paliwem, wychodząc jednocześnie naprzeciw postulatom ekologów. Jednym z przykładów może być amerykańska firma Tesla Motors z kalifornijskiego miasta Palo Alto. Nazwana na cześć serbskiego konstruktora i wynalazcy zajmuje się produkcją luksusowych i sportowych samochodów elektrycznych (opierających się na silnikach indukcyjnych). Mimo że w 2008 roku firma zaskoczyła rynek samochodowy swoimi roadsterami, w raporcie z 2011 roku czytamy o stratach w wysokości 50 mln dolarów.

LESS IS MORE...

Poniedziałek, godzina 6:00

Pobudka, szybki prysznic, kawa w biegu. Potem praca – młyn – maile, telefony, spotkania. Szybki obiad – jak to smakuje, czy to w ogóle mi smakuje? Po pracy spotkanie z doradcą podatkowym, zakupy, odbiór butów od szewca. Znów trzeba przełożyć wizytę u lekarza...

Powrót do domu

Włączam telewizor, chwilę później komputer. Zerkam na film, jedząc kolację, żeby niczego nie przegapić. Odpisuję na zaległe maile od przyjaciół, z którymi nie widziałam się od miesięcy. Naczynia w zmywarce, szybka analiza kolejnego raportu do pracy, zaległe przelewy. Szybki prysznic. Szybki sen. Praca. Dom. Praca. Dom. Czy to już piątek? Nareszcie odpocznę!
Sobota – budzę się zmęczona. Czy to już południe? Tyle rzeczy trzeba zrobić, nadrobić, załatwić... Sprzątanie, prasowanie, zakupy, jakiś hamburger w drodze, komputer i… znów zaległości z pracy. Wieczorem spotkanie ze znajomymi – kolacja, drink, rozmowy o interesach, wzroście cen, kredycie, o innych znajomych. Nareszcie w domu. Czy w ogóle podobała mi się ta knajpa, w której byliśmy? Czy smakowała mi kolacja?
Niedziela – kino. Na pewno chciałam obejrzeć ten film?
Poniedziałek – budzik 6:00 rano. Trudno. Wstaję!
Odpocznę w weekend…

Gdzie jest sens?

Im bardziej się spieszymy, tym bardziej jesteśmy spóźnieni…
Im więcej chcemy, tym mamy mniej…
Żyjemy w ciągłej gotowości. Do mojego gabinetu trafiają osoby, które zostały zatrzymane w tym biegu przez własne ciało – nerwica, lęki, depresja. Chcą jak najszybciej wrócić do formy, aby znów móc więcej, szybciej, wydajniej.
Pamiętam, jak pewna kobieta powiedziała mi, że kiedy idzie wolniej, widzi więcej. To było kilka lat temu, ale te słowa utknęły mi w pamięci. Wpisują się one w nurt, który powstał około 20 lat temu we Włoszech i jest swego rodzaju alternatywą do życia w ciągłym biegu, pośpiechu – Slow Life.

Slow Life okiem psychologa

To życie tu i teraz. To decydowanie o tym, co naprawdę jest dla mnie w życiu ważne, to ustalenie własnych priorytetów, systemu wartości i potrzeb. Dzisiejsza kultura narzuca nam w pewnym sensie szybki i konsumpcyjny styl życia. Chcemy więcej – awans społeczny, lepszy samochód, najnowocześniejszy telefon, kolejny kredyt, większy dom. Pozostaje pytanie: czy aby na pewno będziemy mieli czas, żeby się z tego cieszyć? Znam osoby, które osiągnęły to wszystko, ale najzwyczajniej w świecie nie mają czasu na odpoczynek. Konsekwencją takiego życia jest stres, który zaczynamy czuć coraz bardziej i dotkliwiej. Bóle głowy i kręgosłupa, problemy z żołądkiem, stałe zmęczenie. Nowe obowiązki, natłok myśli sprawiają, że mamy trudności z zasypianiem. Czujemy się coraz gorzej, coraz bardziej zmęczeni.
Często słyszę od swoich pacjentów: „czas przelatuje mi między palcami", „życie stało się jałowe", „coś mnie omija bezpowrotnie". Zapominamy o tym, czego tak naprawdę potrzebujemy i do czego.

Stan umysłu

Slow life to stan naszego umysłu, to wyciskanie z życia jak najwięcej. Polega na smakowaniu tego, co jemy, dbaniu o własne zdrowie, o relacje z drugim człowiekiem. Slow to znalezienie czasu na bycie razem, a nie obok siebie. To spacer z dzieckiem zamiast włączenia mu kolejnej bajki. Amerykański lekarz i psychoanalityk John Bowlby badał podstawowe założenia teorii przywiązania, budowania więzi na przestrzeni życia ludzkiego od dzieciństwa po dorosłość. Jego teoria dotyczyła negatywnego wpływu, jaki wywiera na rozwój małego dziecka utrata obiektów znaczących (ojca, matki bądź innego opiekuna) w wyniku niepoświęcania dziecku takiego czasu i uwagi, jakiego ono potrzebuje podczas swojego rozwoju emocjonalnego. Może to mieć wpływ na dalsze życie dziecka. Istnieje ryzyko, że wykształci się w nim jeden z negatywnych stylów przywiązania – dziecko może unikać kontaktu z innymi osobami, bać się utraty bliskich osób. Dlatego tak ważne jest, żebyśmy wychowywali swoje dzieci mądrze. Zwolnijmy, spędzajmy razem każdą wolną chwilę.
Ktoś powie: „Slow life to utopia, tak się nie da żyć!". Zgoda. Życie bywa bezlitosne – trzeba na nie zarobić, a nie zawsze lubimy swoją pracę… Oczywiście, pieniądze mogą pomóc nam w realizacji potrzeb, jednak nie zastąpią nam bliskości z drugim człowiekiem.
Aby żyć slow, nie trzeba rzucać pracy, sprzedawać mieszkania i przeprowadzać się na wieś. To nie jest ucieczka, tylko bardziej intensywne i świadome przeżywanie każdego dnia. To szukanie odpowiedzi na pytanie „po co to robię, czy tego chcę?". Bo przecież to my decydujemy o tym, czy wyłączyć telewizor, gdy nasze dziecko chce się z nami pobawić. Wreszcie to my określamy swoje podejście do rzeczy materialnych. Idea slow life ma nauczyć nas żyć zgodnie z naszymi pragnieniami i bez stałego obciążenia, że „znów coś muszę". To odpowiedź na pytanie – co się stanie, jeśli czegoś nie zrobimy, a zamiast tego wybierzemy coś innego? Slow life nie wyklucza ani perfekcjonizmu, ani rezygnacji z własnych ambicji, rozwoju, kształcenia. Wręcz odwrotnie – pozwala uporządkować wiele rzeczy, skupić się na wykonywaniu jednej, ale dobrze.
Mniej znaczy więcej – czy to możliwe? Tak! Mniej przyjaciół, ale za to prawdziwych. Mniej pieniędzy, ale więcej czasu spędzonego z bliskimi.
Poniedziałek, godzina 6:00.
W jaki sposób Ty spędzisz dzisiejszy dzień?

Tekst: Izabella Lasocka
psycholog, psychoterapeuta
www.Lasocka.com

najmłodszy emeryt odkrywa świat

Tekst: Kaja Cudak
Foto: Krzysztof Żuczkowski

Zanim przeszedł na emeryturę, pracował na etacie. W dzieciństwie dorastał między dwoma państwami. O tym, jak intensywne i barwne życie wiedzie najmłodszy z emerytów, przekonałam się, słuchając jego opowieści. Jestem pewna, że rozmowa ze Sławkiem Muturi na zawsze zapadnie w moją pamięć. Siedząc w przytulnej kafejce, wsłuchiwałam się w nieskończoną opowieść o Kenii, Polsce, odkrywaniu i smakowaniu życia…

Opowieść o wujku Muriuki

Przywołując wspomnienia, Sławek Muturi opowiada o swoim ojcu, który z powodów politycznych nie mogąc wybić się w Kenii, przypadkiem dotarł do zimnej Polski. Tu studiował, a jako wykładowca na warszawskiej orientalistyce poznał swoją przyszłą żonę i założył rodzinę.

– *Urodziłem się w Polsce, dorastałem między nią a Kenią, w dwóch kulturach i czterech językach: polskim, angielskim, suahili i plemiennym kikuyu. W obydwu domach była jedna rodzina, miłość i Bóg, a jednak w Kenii byłem jednym z kilkunastu wnuczków, miałem kilkudziesięciu kuzynów – a w Polsce tylko jedną kuzynkę. Byłem też jedynym, ukochanym wnuczkiem polskiej babci* – ze wzruszeniem opowiada, a w jego oczach widać wzruszenie. Choć mocniej czuł się związany z Polską niż z Kenią, to właśnie chwile w kraju Afrykańskim miały zaważyć na jego dalszym życiu. A szczególnie rozmowa z ojcem:

– *Pewnego dnia Tata mnie spytał: „widzisz ten dom tam? To dom wujka Muriuki". Jak to? Zdziwiłem się, wiedząc, że mieszka z rodziną w zupełnie innej dzielnicy Nairobi. Usłyszałem, że wuj ma na własność wiele domów, które wynajmuje. Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić, wiedząc jak wygląda życie w Polsce: książeczki oszczędnościowe, czekanie na mieszkania po kilkanaście lat. Zachodziłem w głowę, jakim cudem jest to możliwe, ale po czasie postanowiłem, że będę taki jak wuj. Dlatego od pierwszej pracy wiedziałem, że moim celem jest oszczędzanie i inwestowanie w nieruchomości i podróże.*

To dla uczczenia pamięci swoich zmarłych rodziców, Sławek był w 2003 roku pomysłodawcą powstania Forum Kenijsko-Polskiego, organizacji, która działa do dziś promując Kenię w Polsce i Polskę w Kenii.

Być w ciągłej drodze

– *Już jako dziecko miałem w sobie wielką ciekawość ludzi i świata. Chciałem podróżować, a z czasem poznawać inne kultury, zwyczaje i przede wszystkim ludzi. Moją pierwszą samodzielną i najdłuższą podróżą, bo dziewięciomiesięczną, była podróż po Afryce, w którą wyruszyłem w 1989 roku wraz z dwoma kolegami z roku. Z Polski do Kenii udaliśmy się kupionym za pieniądze z saksów landroverem, który o dziwo wytrzymał.*

Tuż po powrocie z tej długiej eskapady Muturi wybrał pracę w ONZ, wiedząc, że daje ona możliwość poznawania świata. Jednak po dwóch latach poczuł, że nie ma serca do administracji:

– *Po studiach na SGPiS (dziś SGH) na Wydziale Prawa UW, znając języki, pomyślałem o pracy w korporacji. Chciałem zrozumieć biznes, jak najwięcej się nauczyć. W Polsce dopiero raczkowały oddziały globalnych marek, jeszcze będąc wiernymi dobrym tradycjom i zasadom, a to gwarantowało mi przyspieszony rozwój. Wysokie zarobki zaś pozwalały na podróżowanie, bo bez niego nie wyobrażałem sobie życia.*

Podróże w duchu (SLOW)

Wkrótce Sławek Muturi związał się z branżą konsultingu. Szybko awansował, po ośmiu latach zostając współwłaścicielem, ale jak sam przyznaje, gdy tylko mógł ruszał w świat.

– *Kochałem swoją pracę, ale jednocześnie miałem do niej zdrowy dystans. Wykorzystywałem w pełni czas, wywiązywałem się z powierzonych obowiązków, ale nie interesowało mnie robienie kariery. Wyjeżdżając bez żalu wyłączałem komórkę, ufając, że bez mojej obecności i tak świat się nie zawali.*

Dla wielu osób moje podejście do pracy i pasja podróżowania były niezrozumiałe. Budziły zawiść. Po czasie, aby ukrócić cudzą ciekawość i zazdrość ukułem zwrot „Jadę z rodziną do Poddębic, pod Łódź". Zadziałało, nikt nie zadawał dalszych pytań. Dopiero, gdy miałem własny gabinet mogłem jawnie cieszyć się swoim hobby – nad biurkiem zawiesiłem mapę świata, zaznaczając kolorowymi szpileczkami miejsca, w których byłem.

Trudny klient

Co ciekawe pasja Sławka spotkała się również z niezrozumieniem pracowników biur podróży.

– *Byłem wyjątkowo trudnym klientem. Rezerwując bilety wielokrotnie czytałem w cudzych oczach: „wariat". Opowiadałem o państwach, których nikt zdawał się nie znać, nie wiedział gdzie leżą, że są tam lotniska, kolej, normalne życie. Nie interesowały mnie stricte turystyczne zamienniki, plan: taksówka, pięciogwiazdkowy hotel, all inclusive i byczenie się na leżaku. Wolałem wyszukiwać oferty tanich pociągów i lotów, jeździć i odkrywać. Było mi obojętne, dokąd danego razu pojadę. Miałem przy sobie listę miejsc, które chciałem zobaczyć – jeździłem i odkreślałem kolejne, byleby więcej ludzi poznać, wysłuchać, pobyć przy nich choć przez chwilę, a przez to zobaczyć, dowiedzieć się i zrozumieć więcej o sobie samym i świecie, mieć szerokie spojrzenie na życie.*

Sławek odwiedził już wszystkie – bez wyjątku – kraje świata. Wiele z jego podróży było szalonych, jak ta na Seszele. Tydzień wcześniej poleciała na nie jego rodzina, on dołączył do niej, równocześnie kończąc studia MBA w London Business School. Gdy przemieszczając się z wyspy na wyspę samolotami i łodziami, w końcu dotarł na miejsce, ponad połowę wolnego czasu spędził czytając raport z pracy – wysłany faxem, ale w miejscowym hotelu nie przewidziano ilości takiej korespondencji, więc z innych firm pożyczano papier, aby dodrukować tekst. Pięć dni urlopu minęło bardzo szybko. Podobnie ekstremalnie krótkim wyjazdem Muturiego była czterodniowa podróż do Australii, wliczając w nią przylot i powrót.

Co znamienne, podróżnik na swoich eskapadach nie robi zdjęć (ani sobie, ani odwiedzanym miejscom). Nie sypia też u znajomych, choć ma ich w niemal każdym zakątku świata – za to wybiera hoteliki i hotele, czasem wręcz o spartańskich warunkach. Przemieszcza się, je i przeżywa dni tak, jak miejscowi, wtapiając się w tłum. Rozmawia z ludźmi, szlifując języki obce i ucząc się nowych. „Dzień dobry", „Do widzenia", „Dziękuję", „Proszę", „Ile kosztuje" to pierwsze ze słów, które stara się do skutku opanować, ucząc się wszędzie i od każdej osoby.

Dzięki temu Muturi zna biegle nie tylko język polski, angielski i suahili, ale także francuski, rosyjski, hiszpański i niemiecki. Zapytany odpowie też w języku rumuńskim, kikuyu, szwedzkim i fińskim; uczył się też kiedyś podstaw arabskiego i japońskiego.

Marzenie o wolności

Miłość do języków obcych przydała się Sławkowi nie tylko w pracy, lecz także przy zgłębianiu wiedzy o rynku nieruchomości. Przez lata czytał prasę, książki, robił notatki i inwestował, kupując mieszkania początkowo w Warszawie, a potem też w rodzinnej Łodzi. W maju 2009 roku, po blisko dwudziestu latach pracy w korporacji, odszedł z niej bez cienia żalu:

– *Od początku wiedziałem, że odejdę, gdy tylko osiągnę wolność finansową. Praca i czas były okazją, którą chciałem jak najefektywniej wykorzystać. Moim kluczem do sukcesu w kupowaniu domów na wynajem była wyłącznie samodyscyplina: powściągliwość, praktycyzm w zarządzaniu finansami i wyszukiwanie okazji na rynku. Od dziecka oszczędzałem, wiedząc, że aby odłożyć pieniądze, trzeba żyć na niższym poziomie niż można sobie pozwolić, co nie znaczy odmawiać sobie godziwych warunków czy prostych przyjemności.*

Z RĄK DO RĄK

Na przystankach autobusowych, w kawiarniach, na ławkach w parku. Teoretycznie można znaleźć je wszędzie. Książki – bo o nich mowa, zgodnie z założeniami akcji zwanej bookcrossingiem – powinny zyskiwać nowe życie i wędrować dalej. Jak jest naprawdę? Czy książki aby na pewno są w nieustannym ruchu i trafiają w powołane ręce? Czy w dobie e-booków oraz tabletów taka forma propagowania czytelnictwa nie jest walką z wiatrakami?

Tekst i zdjęcia: Martyna Człapska

Wirtualna biblioteka

Bookcrossing to dosłownie uwalnianie książki – niecodzienne zjawisko, mające na celu zjednoczenie miłośników czytania. Narodziło się w Stanach Zjednoczonych w 2001 roku, kiedy amerykański programista Ron Hornbaker, chcąc podzielić się z innymi zbiorem swoich książek, założył stronę internetową Bookcrossing.com. Marzył o przekształceniu świata w jedną wielką i otwartą dla wszystkich bibliotekę. Wystarczyło zarejestrować książkę na stronie, nadać jej numer identyfikacyjny (BCID) i poinformować zainteresowanych, w jakim miejscu będzie czekała na nowego właściciela. Nieistotne było, do kogo trafiała, lecz sam fakt, że wędrowała dalej.

Obecnie serwis Bookcrossing.com łączy ponad milion pasjonatów czytania, a blisko 8,5 miliona książek podróżuje po 132 krajach. Liczby prezentują się imponująco. Według autorów strony największy udział w bookcrossingu widoczny jest wśród mieszkańców USA, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Polska niestety jest poza pierwszą dziesiątką. Na stronie pod hasłem „Poland" zarejestrowanych jest blisko 500 osób. W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi (300 tys. użytkowników) – to wynik niezadowalający. Biorąc zaś pod uwagę kraje, takie jak San Marino czy Nigeria (poniżej pięciu użytkowników), wypadamy całkiem nieźle.

Podaj dalej

W Polsce o uwalnianiu książek stało się głośno, gdy 9 lat temu Maciej Służyński i Lechosław Gawroński założyli portal Bookcrossing.pl. Według danych na stronie głównej zarejestrowanych jest blisko 20 tys. użytkowników, a uwolnionych książek – prawie 140 tys. Ile osób regularnie rejestruje książki, zanim wypuści je w świat – tego niestety nie wiadomo. Woluminy można zostawiać na oficjalnych półkach bookcrossingowych w specjalnie wyznaczonych miejscach – bibliotekach, szkołach, domach kultury. Na stronie dostępna jest lista wszystkich adresów oraz formularz zgłoszeniowy. Każda książka zostanie oznaczona numerem BIP, który ułatwi jej identyfikację.

Wielokrotnie zdarza się, że książki wypadają z obiegu. Dlaczego tak się dzieję? Chociażby dlatego, że niektórzy nie wiedząc czym jest bookcrossing, nie przekazują książek dalej. Zdarzają się też tacy, którzy celowo zatrzymują je tylko dla siebie. W końcu nowe książki (zwłaszcza bestsellery) kosztują. A taka okazja może się już nie trafić. By tego uniknąć – na książce powinna znaleźć się informacja typu:

Cześć. Jestem wolną książką,
a Ty – moim nowym czytelnikiem.
Jeśli chcesz, weź mnie ze sobą i przeczytaj.

Dla tych, którzy nie chcą na stałe pożegnać się ze swoimi literackimi perłami, najlepszym rozwiązaniem jest bookring, czyli wypożyczenie książki konkretnej osobie, która po przeczytaniu powinna zwrócić ją do nadawcy. Właściciel musi zaufać obcemu człowiekowi i uwierzyć, że będzie on na tyle lojalny, by pójść na pocztę i odesłać książkę.

W świetle prawa

Z pożyczaniem książek wiąże się też kwestia prawna. Kopiowanie dzieła i osiąganie korzyści materialnych z rozpowszechniania jest zdecydowanie nielegalne. Jednak „dozwolony użytek" pozwala na korzystanie z pojedynczych utworów przez krąg osób pozostających w związku osobistym. Biorąc pod uwagę fakt, że w ramach bookcrossingu książki wędrują do obcych ludzi, może pojawić się problem. Chyba że (zgodnie z założeniem akcji) bookcrossing potraktujemy jak wirtualną bibliotekę, która może użyczać nieodpłatnie egzemplarze utworów rozpowszechnionych. Po 70 latach od śmierci twórcy wygasają autorskie prawa majątkowe. Wtedy rozpowszechnianie dzieł autora nie powinno stanowić żadnego problemu, a przy okazji jego książki stają się faktycznie wolne.

Półki widmo

Portal bookcrossing.pl choć szerzy słuszną ideę, ma na razie wiele niedociągnięć, takich jak: brak aktualizacji danych oraz bałagan na liście półek. Niektóre miejsca (kawiarnie, bary, kina) znajdujące się na stronie już nie istnieją.

Przykładowo, w spisie nadal widnieje warszawskie kino „Relax", które zakończyło swoją działalność prawie 6 lat temu, albo „In-Side Jazz Club", który choć funkcjonuje wciąż pod wskazanym adresem, to nie ma juz wiele wspólnego z muzyką jazzową i bookcrossingiem. Za bałagan na liście półek odpowiedzialni są przede wszystkim sami użytkownicy, którzy niezbyt precyzyjnie określają miejsce uwolnienia książki. Nie wiadomo, czy jest to stała półka, czy ktoś tylko okazyjnie zostawił tam dzieło. Problem stanowi także brak dat powstawania półek. Po wnikliwej analizie można wywnioskować, że na górze listy znajdują się lokalizacje miejsc zgłoszonych na początku powstania portalu, a na samym dole – te, które zostały dodane ostatnio.

Pod koniec kwietnia rusza nowa wersja strony Bookcrossing.pl, na której powinny znaleźć się bardziej szczegółowe i rzetelne informacje, włącznie z aktualnościami oraz działającym forum. Miejmy nadzieję, że pojawi się więcej statystyk na temat książek wędrujących i zaginionych, a odwiedzający stronę poznają liczbę nie tylko zarejestrowanych, ale także tych faktycznie udzielających się użytkowników.

Gdzie szukać?

W lutym br. do projektu bookcrossingu włączyło się Koło Naukowe Instytutu Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Do tej pory uwolniono dwanaście książek, ale to dopiero początek. Członkowie koła nawiązali współpracę z firmą, która dostarczy im więcej tytułów. Akcja bookcrossingowa organizowana w instytucie stanowić będzie punkt wyjścia do badań prowadzonych na ten temat w ramach działalności koła. Na przedostatnim miejscu listy warszawskich półek bookcrossingowych znajduje się kawiarnia „Ethno Cafe Bílý Koníček", usytuowana w gmachu Państwowego Muzeum Etnograficznego. Już od progu budynku można podziwiać mebel, na którym widnieją następujące napisy: *Wolna Książka* oraz *Zamień przeczytaną na tobie nieznaną*. W przytulnej atmosferze goście mogą wypić kawę, uwalniając przy tym przeczytaną książkę lub czytając nową. W „Ethno Cafe" nikt tak naprawdę nie pilnuje półki z wolnymi książkami, a mimo to nie świeci ona pustką.

RZECZ O KICZU

Choroba sztuki czy celowa kontestacja zastanego świata? Czym dzisiaj jest kicz, a czym prawdziwa sztuka? Rzeczy kiczowate, oznaczające niegdyś tandetną kopię prawdziwych arcydzieł sztuki, dziś nie uchodzą już za partactwo, ale pełnią krytyczną funkcję wobec świata zewnętrznego. A ich piewcami stali się wielcy artyści, tacy jak Pedro Almodóvar czy Tim Burton.

Tekst: Anna Kiedrzyńska

Kicz – a co to takiego?

Potocznie kiczem nazywamy rzeczy trywialne, przerysowane. Często niezrozumiale połączony zlepek kultur i stylów artystycznych. Słynny przepis na komercyjny sukces: weź symbol, dopraw krztyną złota, kupą różu, a na pewno się sprzeda! Takie przedmioty od lat można spotkać w „świątyniach kiczu" – na targach, bazarach, na odpustach, przydrożnych sklepikach z pamiątkami. Jedno jest ważne – dzieło musi być łatwo przyswajalne dla przeciętnego odbiorcy, nie obrażać jego uczuć i wzbudzać sentyment (tworzyć skojarzenie) ze znanym i lubianym motywem. Oto kicz w czystej postaci. Nie trzeba myśleć, nie trzeba się zastanawiać. Ładnie wygląda, ładnie świeci, pasuje do ścian mieszkania, a przy tym niewiele kosztuje.

W gąszczu przedmiotów, bibelotów i pseudodzieł pojawia się pytanie: co jest sztuką? Czy słynne przedstawienie „Fontanny" Duchampa (czyli w istocie sedesu) wpisuje się do kanonu dzieł artystycznych? Co świadczy o tym, że sztuka istnieje? Czym jest, a czym nigdy nie będzie? Jedni twierdzą, że jest nią sam pomysł. Inni uważają, że sztuka współczesna to wyłącznie przedmioty uznane za dzieło artystyczne przez świat sztuki, tj. kuratorów, właścicieli galerii, krytyków filmowych, malarzy i rzeźbiarzy. Na pytanie: czym dzisiaj jest sztuka, trudno jest znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Zdawać by się mogło, że z kiczem pójdzie łatwiej. Po wielkim wybuchu popularności Andiego Warhola, autorskim kopiowaniu wizerunku Marilyn Monroe i puszek słynnej zupy Campbell, trudno dzisiaj określić, co jest kiczem. Dla zwykłego odbiorcy, który nie jest częścią artystycznego światka, zrozumienie współczesnej sztuki może okazać się nie lada wyczynem. W szczególności, że nauka o sztuce w szkole publicznej kończy się na dadaizmie bądź na impresjonizmie. Jedno pozostaje pewne, trudno jednoznacznie stwierdzić, co jest dziełem artysty, a co partacza. Świat sztuki brutalnie wdarł się w życie codzienne. I na odwrót.

Kicz: kiedyś i dziś

Dawniej kicz określano jako chorobę sztuki, komercjalizację i degradację poprzez kopiowanie wybitnych dzieł. Pod koniec XX wieku tworząca się klasa średnia zapragnęła obcować ze sztuką na co dzień, przywłaszczając ją sobie na własny użytek. Zaczęto tworzyć na zamówienie słynne obrazy-motywy, takie jak: „Jeleń na rykowisku" (obowiązkowy przykład kiczu w polskich domostwach) czy całą serię obrazów z Żydem, który liczy pieniądze. W Internecie aż roi się od ogłoszeń typu:

Prezentujemy Państwu reprodukcję obrazu Mariana Kaszuby, Żyda liczącego pieniądze. Nasza autorka specjalizuje się w wykonywaniu reprodukcji na zamówienie. Jest niezwykle precyzyjna, za co cenią ją zleceniodawcy. (…) Polecamy osobom miłującym klasykę. Według przesądu dom, w którym znajduje się obraz Żyda liczącego pieniądze ma nie omijać dostatek i szczęście.

Czy też inny przykład ze słynnego portalu aukcyjnego:

Obrazki Żydów liczących pieniądze przynoszą szczęście. Obrazek jest to symbol dostatku, powodzenia i szczęścia. Uwaga, mega promocja – przy zakupie minimum 12 sztuk obrazków dodajemy gratis solniczkę i pieprzniczkę – Hit!

Kiczowate obrazki zagościły w naszych domach. Jak przekornie ujął to Jan Wieczorek, malarz i kulturoznawca:

–Wyobraźmy sobie przeciętny dom, w którym znajdują się rozmaite przedmioty, jedne z nich mają charakter funkcjonalny, np. krzesła, talerze, ręczniki, inne zaś upiększają nasze mieszkania, dostarczają nam rozrywki albo znalazły się w domu z powodów sentymentalnych lub przypadkowych. (…) Oto ilustracje: meble kuchenne oklejone drewnopodobną okładziną, plastikowe szyby w drzwiach imitujące szkło, pseudopałacowe kasetony upiększające sufit, figurki rozmaitych adonisów nawiązujące do wnętrz antycznych, narzuty na łóżka bliskie stylowi „Jelenia na rykowisku", reprodukcje lub plagiaty obrazów uznanych mistrzów wiszące w ekspozycyjnych miejscach mieszkania [1].

O prawdziwej sztuce czy gustach odbiorów można długo dyskutować. A obelżywe słowo „kicz" wyrzucać z siebie przy każdym paskudnym, niezrozumiałym, niegodnym miana sztuki przedmiocie. Kicz to synonim miernoty, szmiry, tandety. W sztuce zaczął samorodnie istnieć i przeistoczył się w nową formę – kampu. Świadomie używany stał się bronią obusieczną w rękach artystów. To stylistyka o tyle niebezpieczna, że kontestuje przyjęty porządek świata obyczajów i kultur, nie chroniąc się w tym samym czasie przed lawiną krytyki wpisującą ich filmy, seriale, plakaty, obrazy w kategorię nieświadomego kiczu.

KREATYWNOŚĆ PRZEDE WSZYSTKIM

Dzieciństwo to czas zabawy, którą dziecko podejmuje w sposób naturalny, nie stawiając swoim działaniom żadnych praktycznych celów. Zabawa zaspokaja potrzebę poznawczą i potrzebę ruchu oraz stanowi źródło przyjemności. I choć nie każdy zdaje sobie z tego sprawę, jest ona bardzo ważnym czynnikiem wpływającym na ogólny rozwój dziecka.

Tekst i Ilustracje: Julita Matusiak

Dlaczego zabawy są tak ważne?

W dużej mierze dzięki zabawie dziecko nabywa nowych umiejętności, uczy się pokonywać trudności, poznaje swoje mocne i słabe strony, przeżywa nie tylko radość z osiągnięć, lecz także frustracje związane z porażkami; nawiązuje kontakt z otoczeniem, tworzy relacje z innymi osobami, rozwija wyobraźnię oraz kreatywność. Poprzez umiejętne dobieranie zabaw rodzice mogą kształtować postawy dziecka zarówno wobec samego siebie, jak i innych osób.

W procesie wychowania należy kłaść duży nacisk na rozwój postawy twórczej oraz stymulację twórczego myślenia u najmłodszych. To bardzo istotne, bo pozwala dzieciom z łatwością rozwiązywać problemy. Kreatywna osoba łatwo kojarzy odległe fakty, nie boi się wychodzić poza uznane schematy, jest w stanie rozpatrzyć daną sytuację z różnych perspektyw, potrafi stworzyć coś naprawdę wartościowego.

Co sprzyja rozwojowi twórczego myślenia?

Przede wszystkim potrzebny jest czas i zaangażowanie rodziców w stworzenie odpowiednich warunków oraz w inicjowanie twórczych działań. Ważne jest, by dziecko czuło się swobodnie. Pozytywne emocje i poczucie akceptacji bardzo sprzyjają pomysłowości, tak więc nie należy wydawać opinii na temat pomysłów dziecka lub prac przez nie stworzonych. Krytykowanie lub chwalenie może zahamować swobodę tworzenia. Brak oceniania kształtuje w dziecku motywację wewnętrzną do podejmowania twórczych działań, niezwiązaną z uzyskaniem zewnętrznej gratyfikacji.

By maluch radził sobie z rozwiązywaniem problemów bardzo przydatne są ćwiczenia usprawniające jego spostrzegawczość, otwartość na bodźce oraz nowe informacje. Dziecko uwrażliwia się na otaczający świat, aktywnie go bada, dostrzega jego wielowymiarowość i różnorodność. Zdobywa coraz większą wiedzę i pogłębia ciekawość.

Ciekawość czego?

Gdy dzieci zadają pytania, nie należy ich ignorować. Można potraktować je jako punkt wyjścia do zabawy polegającej na wspólnym poszukiwaniu lub wymyślaniu odpowiedzi. Takie aktywności mogą pozytywnie wpływać na rozwój płynności (ilość pomysłów), giętkości (różnorodności) i oryginalności myślenia.

Efekty twórczości dziecka mogą przejawiać się w nowych formach ekspresji, wytworach i odkryciach. Zabawy twórcze kształtują w dziecku poczucie pewności siebie i dają mu wiele satysfakcji. Uczą aktywnej postawy wobec problemów, innych osób i świata, co z pewnością zaprocentuje w dorosłym życiu. Ponadto podczas wspólnych zabaw z dzieckiem rodzic poznaje jego predyspozycje i talenty. Może zatroszczyć się o ich odpowiedni rozwój. Może także odkryć w sobie potencjały, które dzięki twórczym zabawom z dzieckiem, rozwinie i wykorzysta w rozwiązywaniu własnych sytuacji problemowych.

Do stymulowania twórczego rozwoju świetnie nadają się zabawy konstrukcyjne, plastyczne, gry słowne, rymowanki, projektowanie nowych przedmiotów; wcielanie się w rolę kogoś/czegoś, szukanie rozwiązań problemu, tworzenie ciągów skojarzeń, historyjek, wymyślanie zagadek i ciekawostek, inscenizacje.

Dobrze jest połączyć zadania z ruchem. Wiele prostych ćwiczeń można wykonywać w różnych sytuacjach, np. podczas spaceru, jazdy pociągiem, czekania w kolejce itp.

Oto kilka przykładowych pomysłów, które można odrobinę zmodyfikować i dostosować do możliwości dziecka:

- Zaprojektuj siedmiomilowe buty.
- Wymyśl historyjkę wyjaśniającą skąd się biorą piegi.
- Przyjrzyj się dwóm obrazkom i podaj jak najwięcej skojarzeń, które je łączą.
- Jesteś królem (kimkolwiek, czymkolwiek innym) - zaplanuj swój dzień.
- Wymyśl nowe zakończenie bajki.
- Co by było, gdyby ludzie mieli tylko dwa zęby…
- Z kilku figur geometrycznych ułóż jak najwięcej przedmiotów.
- Przeprowadź wywiad z telewizorem (czymkolwiek/kimkolwiek innym) – zadaj mu przynajmniej sześć pytań.
- Z tzw. śmieci zrób zabawkę dla przyjaciela.
- Jesteś mrówką – pokaż, jak się porozumiesz z człowiekiem (rodzicem lub innym dzieckiem).
- Wymyśl zabawę, w której można wykorzystać powłoczkę na poduszkę.
- Zbuduj labirynt z wybranych przez siebie elementów.
- Wybierz kilka przedmiotów używanych na co dzień i zrób z niego pojazd.

Ciekawe propozycje zabaw i ćwiczeń wspomagających rozwój twórczy dziecka można znaleźć w książkach Marioli Jąder „Krok w kierunku kreatywności. Zabawy i ćwiczenia", „Efektywne i atrakcyjne metody pracy z dziećmi", „Techniki plastyczne rozwijające wyobraźnię" (Wydawnictwo Impuls).

Przydatne mogą okazać się również pomysły zawarte w książce, której autorami są Denise Chapman Weston oraz Mark S. Weston – amerykańscy psychoterapeuci, „Co dzień mądrzejsze. 365 gier i zabaw kształtujących charakter, wrażliwość i inteligencję emocjonalną dziecka" (Prószyński i S-ka).